

# ROZBROJENIE NIEMIEC

Nawet najbardziej "humanitarnie" i pacyfistycznie nastrojone koła chyba zgodne są dzisiaj w tym punkcie, iż po pokonaniu Niemiec nastąpić musi trwale i wszechstronne ich ubezwładnienie, iż przewidziane w artykule VIII Deklaracji Atlantyckiej "rozbrojenie narodów, zagrażających lub mogących zagrażać agresją" musi stać się równie totalne jak wojna, którą te narody potrafiły narzucić światu.

### NAUKA WERSALU

Twórcy Traktatu Wersalskiego mieli co prawda również ten sam cel na oku. Jednak nie posunęli oni się dostatecznie daleko ani pod względem trwałości obranych środków, ani pod względem ich wszechstronności.

Wśród środków o charakterze trwałym, przynajmniej wedle zamierzeń autorów Traktatu, figurować miało tylko ograniczenie armii niemieckiej do 100.000 ludzi, odebranie Rzeszy większości uzbrojenia (przy zakazie dalszej jego fabrykacji), a wreszcie demilitaryzacja Nadrenii. Wszystkie inne zarządzenia miały charakter z góry określony jako przemijający, obliczony na okresy czasu, z których najdłuższy nie miał przekraczać 15 lat. Taki to charakter miała n.p. okupacja lewego brzegu Renu i przyczółków mostowych Kolonii, Koblencki i Moguncji. Nie wiele też od tamtych środków różniło się w skutkach odłączenie od Rzeszy terytorium Saary.

Sama zasada stopniowego usuwania okupacji z obszaru niemieckiego była z punktu widzenia wojkowego pomysłem poronionym, choćby tylko dlatego, iż słabnięcie i zupełne ustanie działania tego środka zbiegało się w czasie właśnie z okresem, kiedy niemiecki duch odwetu i napaściwości — po przebytej depresji — zaczynał teżnąć na nowo. Interes wojskowy Aliantów wymagał uwzględnienia tego momentu i położenia daleko silniejszego nacisku na stosowanie środków trwałych, choćby nawet w ścisniejszych granicach.

Zastosowane wówczas metody rozbrojenia szwankowały również i z innego powodu. Wychodziły one z całkowicie mylnego założenia, jakoby dla unieszkodliwienia Niemców wystarczyło zachować je strategicznie od Zachodu, nie troszcząc się o zabezpieczenie Wschodu. Wiadomo, iż żaden ze wspomnianych środków nie miał odpowiednika w postaci podobnych zarządzeń w odniesieniu do terytorium Rzeszy, graniczącego z Polską i z Czechosłowacją. Temu założeniu przypisać należy w dużej mierze, iż widoki Polski na otrzymanie Prus Wschodnich rychło okazały się jeszcze słabsze, niż szanse Francji oparcia swej obrony o Ren. Wiadomo, do jakiego stopnia owa dążność do nierównomiernego traktowania obrony zachodu i wschodu Europy miała następnie zaciążyć ujemnie i na politycznym myśleniu Europy, gdy szło o kształtowanie systemu bezpieczeństwa zbiorowego.

W tej chwili jednak chodzi nam o inne strony przyszłego rozbrojenia Niemiec, a w szczególności o wszechstronność środków, które mają być zastosowane. Początkową swoją przewagę w obecnej wojnie Niemcy zawdzięczały m.in. temu, że potrafiły uruchomić i zmobilizować na rzecz swojego potencjału wojennego czynniki, normalnie nie

brane pod uwagę. Ten moment, między innymi, odegrał dużą rolę w ich taktyce zaskoczenia. To też jeżeli chcemy istotnie na przyszłość udaremnić ich dalsze rozbójnicze wypadki, to rozbrojeniem będą musiały być objęte w sposób trwały te wszystkie płaszczyzny bytu narodowego Niemiec, które — choćby w perspektywach na pozór odleglejszych — stanowią część składową ich armatury wojennej.

Dla całkowitego zatem zniweczenia potencjału wojkowego Niemiec, rozbrojenie przeprowadzone będzie musiało być w całym szeregu dziedzin, jak wojskowa odebranie terytoriów, zapewnienie Niemcom przewagę strategiczną nad sąsiadami, polityczna /rozczłonkowanie Rzeszy/, moralna /reedukacja ostatnich pokoleń/, gospodarcza /zlikwidowanie, względnie przeniesienie do innych krajów ciężkiego przemysłu, zdolnego do produkowania materiału wojennego i t.p./.

Poza tymi jednak, przykładowo tylko podanymi formami rozbrojenia, istnieje jeszcze jedna, niesłychanie ważna, której charakter społeczny zdaje się na pierwszy rzut oka odbierać wszelkie pozory związku przyczynowego z potencjałem wojennym Niemiec. Postaramy się tu wyjaśnić jej istotę i znaczenie.

### NIEMIECKI KULT PAŃSTWA

Historia Niemiec obfituje w jaskrawe dowody, iż społeczeństwo niemieckie nie zdradzało nigdy najmniejszego zamiłowania do stanowienia o swoim własnym losie, ani też zdolności do przeciwstawiania się uciskowi pochodzącemu z wewnątrz i do bronienia się przed despotyzmem rządzącej oligarchii. Jeżeli zdarzały się w dziejach Niemiec wybuchy zbiorowego niezadowolenia, to kończyły się one z reguły szybko i bezwarunkową kapitulacją narodu niemieckiego przed uświęconą od wieków władzą jego panów. "Panowie" ci świadomi zresztą byli tego rysu charakterystycznego umysłowości swych poddanych. Już Fryderyk Wielki powiedział, iż "rolą ludu nie jest pytać się dlaczego, lecz robić co każą i umierać".

Parlamentaryzm, demokracja, prawa jednostki — to twory zagraniczne, duszy teutońskiej całkowicie obce, to jak gdyby pogwałcenie odwiecznych tradycji germańskich. Próba demokratyzacji Rzeszy po klęsce w r. 1918 była przez olbrzymią większość społeczeństwa niemieckiego przyjęta i traktowana jako naturalne następstwo poniesionej porażki, w tym samym mniej więcej stopniu, jak jest nią próba nazifikacji czy faszycyzacji Francji po jej zalamaniu się w 1940 r.

Paradoksalność sytuacji doszła do szczytu z chwilą, gdy prezydentem republiki weimarskiej został stary junker Hindenburg, który całe życie swoje spędził w kasarni i który z zasadami demokracji nie miał absolutnie nic wspólnego. "Stary feldmarszałek nie widzi żadnej różnicy między zmienianiem niemieckich kanclerzy a zmienianiem szefów sztabu generalnego podczas wojny" — miał powiedzieć Brüning, otrzymawszy z rąk Hindenburga dymisję ze stanowiska kanclerza Rzeszy.

Całą tą, politycznie bezwładną, niewyrobioną i bezwolną masą ludzką, składającą się na poecie narodu niemieckiego, rządzący zawsze i nigdy nie przestali rządzić — pod wyłącznym kątem

widzenia swych własnych interesów — trzy grupy społeczne: wysocy wojskowi, ciężki przemysł i banki, oraz wielka arystokracja ziemska. W obliczu tego, na wskroś elitarnego zespołu rządzącego, zwykły obywatel nabrał pewnego znaczenia dopiero z chwilą, gdy zaczynał służyć państwu czyli wypadkowej interesów tych trzech czynników władzy.

Dla partego na takich przesłankach państwa, wojna staje się najwyższym objawieniem suwerenności i ostatecznym, nieuniknionym celem wszystkich dążeń i wysiłków. "Stan wojny — jak mówi Hegel — ukazuje dopiero wszechwładzę państwa. Państwo i ojczyzna są wtedy potęgą, która przekonuje jednostki, iż ich niezależność i swoboda są niczym." To też Niemcy byli zawsze i nigdy nie przestali być państwem militarystycznym, czyli państwem, w którym wojskowość dochodzi do znaczenia czynnika rządzącego, niezależnego od władzy cywilnej i przeprowadzającego własne cele i ideały polityczne.

Jeśli ani zwycięskie mocarstwa sprzymierzone, ani republika weimarska nie potrafiły wyrwać władzy z rąk tych trzech czynników, aby ją oddać w ręce narodu, zmiany, jakie zaszły w ówczesnym układzie sił politycznych Rzeszy, musimy uważać za czysto pozorne. Ponadto — w myśl prawa dżungli — republika skazała siebie samą na niechybną śmierć. Hitlerizm, który przyszedł na jej miejsce, nie jest przecież w gruncie rzeczy niczym innym, jak nowym wydaniem tej odwiecznej germańskiej rzeczywistości politycznej, jak uświetnieniem powiązania na nowo w heglowskie państwo-absolut tych właśnie trzech czynników, czasowo tylko porażonych gromem kleski 1918 r.

To też program całkowitego rozbrojenia Niemiec, które ma być przeprowadzone przez Zjednoczone Narody w okresie rozejmu, nie może pominąć unicestwienia potęgi politycznej żadnej z tych trzech grup. Armia niemiecka i przemysł wojenny są niewątpliwie już dziś na pierwszym planie każdego programu rozbrojenia. Jednak w odnośnych rozważaniach stale jeszcze na uboczu pozostaje czynnik trzeci, który właśnie w całym rozwoju militarystyki pruskiej odegrał rolę pierwszorzędną, a pod wieloma względami — w stosunku do tamtych dwóch czynników wprost — nadrzędną.

### KLASA LUDZI WOJNY

Chodzi tu o klasę junkrów pruskich. Z pokolenia na pokolenie rodziny ich przechowują pruską tradycję bezwzględnych podbojów, która do szpiku kości przeżarła niemiecką umysłowość, religię, etykę, wiedzę, filozofię i politykę. Ich to wysiłkiem przypisać należy spruszenie Niemiec. One to głosiły najważniejsze elementy "wiary" nazistowskiej na długo przed przyjściem Hitlera. One go wykryły i pomogły mu do objęcia władzy.

Ta kasta, obejmująca kilkadziesiąt rodzin pruskich, wydała z siebie Clausewitzów, von Schlieffenów, Bismarcków, von Seecktów, Ludendorffów, Hindenburgów, von Pappenów, Braunschitzów itp. Wszystkie wyższe stanowiska w niemieckim sztabie generalnym i w armii z dawien dawna zmonopolizowane są przez członków tych właśnie rodzin. Pradziadowie ich pomagali Fry-

derykowi Wielkiemu w jego napaściach i w rozbrojeniu Polski, dziadkowie wiernie służyli Bismarckowi, ojcowie i synowie zaś odbudowali po r. 1919 potęgę wojskową Niemiec, gwałcąc postanowienia Traktatu Wersalskiego.

Atmosfera panująca na dworach tych feudalnych hreckosiejów sprawia, iż pruski generał uważany jest towarzysko za najdoskonalszy typ człowieka i czczony jako pierwszy sługa państwa. Równocześnie kwitnie na ziemiach tych kult arogancji z jednej strony, z drugiej zaś poniżenia ludzkiego i służalstwa, którego symbolem jest utrzymujący się w wielu okolicach obowiązek całowania ręki "pańskiej". Ta klasa arystokracji ziemskiej przywykła od wieków płacić służbą wojskową na rzecz króla i państwa za przywileje społeczne, których zażywa, a przede wszystkim za dochody, które w praktyce jej są gwarantowane przez państwo.

Zajmowane bowiem przez dobrą junkrów, wschodnie połacie terytorium państwowego Niemiec nie cieszą się bynajmniej względami przyrody. Pomimo intensywnego nawożenia sztucznego i nieprawdopodobnego wysiłku robocizny, ziemię ich nie były nigdy w stanie produkować zboża po cenach, mogących konkurować na rynkach światowych ze zbożem zagranicznym. To też od wieków junkrzy przyzwyczajeni byli do tego, że "odpowiadającą ich stanowi" stopę życiową gwarantowało im państwo w postaci taryf celnych, chroniących ich produkcję rolniczą przed konkurencją zagraniczną kosztem stopy życiowej reszty ludności Niemiec, oraz drogą bezpośrednich subwencji państwowych, obciążających ogół podatników.

Republika weimarska nie miała odwagi zerwać z tą wiekową tradycją. Skoro bowiem ci właściciele dóbr reprezentowali klasę rządzącą, skoro z łona ich wyszedł prezydent republiki Hindenburg i kanclerz von Pappen, trudno było nawet temu zubożałemu rządowi republikańskiemu odmówić im wysokich cel i subwencji, a także obniżenia procentów od długów hipotecznych, obciążających ich dobra.

Prędzej czy później jednak demokratyczne rządy byłyby musiały skończyć z tym systemem, który był uciążliwy zarówno dla chłopów, jak i dla robotników. To też junkrzy doskonale sobie zdawali sprawę, iż pod rządami republiki los nierentownej wielkiej posiadłości ziemskiej musiał stawać się z każdym dniem coraz bardziej wątpliwy. Byli oni ciężarem dla kraju, któremu nie przynosili żadnego pożytku a tylko szkodę. Potrzebować ich mogła tylko wojskowość, przede wszystkim jako dostawców wielkich ilości zboża krajowego w razie wojny, cena bowiem w tym wypadku nie odgrywa żadnej roli, zaś ich włości, jako dogodnych terenów dla manewrów i ćwiczeń wojskowych.

Dzięki takiemu nastawieniu duchowemu i gospodarczemu junkrzy byli zaprzeczeniem wszelkich dążeń do współpracy międzynarodowej. Stresemann niejednokrotnie uskarżał się wobec lorda d'Aberton, ambasadora brytyjskiego w Berlinie, na "niewiarygodną wprost ignorancję niemieckich nacjonalistów, a w szczególności junkrów, we wszystkim co

### KONIECZNOŚĆ ROZBROJENIA SPOŁECZNEGO

W czasie ostatniej wojny istniały w kołach alianckich zamiary unicestwienia junkrów, lecz skończyło się na niczym, a właściwie na tym, iż kasta ta nie tylko zwycięsko przetrwała klęskę Niemiec i Traktat Wersalski, który pozostawił jej sytuację nietkniętą, lecz dzięki nazizmowi wzmogła się jeszcze wydatnie na siłach.

Na lata całe przed nadejściem reżymu nazistowskiego antydemokratyczne hasła polityczne, społeczne, gospodarcze, moralne wyznawane przez junkrów i odpowiadające ich interesom, głoszone były tak w wojsku jak w szkołach i uniwersytetach niemieckich, stały się czymś w rodzaju religii dla wszystkich bez mała Niemców na długo przedtem, nim weszły w skład dogmatyki hitlerowskiej.

Przez lata wielkie obszary, należące do junkrów, służyły jako teren do ćwiczeń wojskowych dla zakonspirowanych organizacji paramilitarnych. Bardzo powszechne były tam "manewry o północy," odbywane niejednokrotnie w pełnym ekwipunku, z bronią w ręku, pod komendą podoficerów zawodowych, których tubalny głos budził nieraz spokojnych podróźnych na małych i odludnych stacyjkach kolejowych. "Reichskuratorium für Jugenderziehung" miało tam swoje obozy dla młodzieży, gdzie mogła ona swobodnie oddawać się ćwiczeniom w życiu wojskowym. kulturze fizycznej, długim marszom nocnym z obciążeniem, szkicowaniu planów sytuacyjnych, strzelaniu, sztafetowaniu i wszelkim innym "sportom wojskowym".

Tam wreszcie — last but not least — kultywowano atmosferę nienawiści i podejrliwości w stosunku do Polski. Przykładem jak dobrze umiała podsycać ją "Reichswehra" jest szereg wydanych przez wojskowych broszur i pamfletów, opartych na założeniu usiłowanego zwładnięcia Prus Wschodnich przez Polskę, a rojących się od fantastycznych opisów polskiej dzikości i okrucieństwa.

Jeżeli przyszły pokój ma być oparty na trwałych podstawach, wpływ junkrów na życie niemieckie musi być zniweczony doszczętnie. Pozostawienie w rękach tych rodzin wielkich obszarów w niczym się nie różni od pozostawienia przyszłym Niemcom posiadanych przez nich obecnie efektów wojskowych oraz fabryk uzbrojenia i amunicji. Cel ten osiągnięty być może tylko za pomocą przymusowo przez Zjednoczone Narody przeprowadzonej reformy rolnej, która przez odpowiednie rozdrobnienie posiadłości ziemskich, należących do junkrów, pozbawi ich za jednym zamachem przywilejów społeczno-gospodarczych i wpływu politycznego, jaki wywierają na umysłowość niemiecką.

Dość należy, iż dzięki dokonanej w ten sposób parcelacji latyfundiów, rozwiązałyby się równocześnie w pewnej mierze i sprawa bezrobocia, jakie grozi ludności niemieckiej w następstwie likwidacji ciężkiego przemysłu w ramach programu rozbrojenia.

# Szkic sytuacyjny

## KU GRANICY RUMUNSKIEJ I LWOWU

Wojska sowieckie posuwają się naprzód raz na jednym, raz na drugim odcinku. Zajęły one Dubno, potem wzięły Jampol. Ich ruchy mają na celu wyrzucenie z zawiąsów całego południowego skrzydła armii niemieckiej.

Wojska niemieckie stoją przed trudnym zadaniem, a komentatorzy Berlina nie ukrywają powagi sytuacji. Błoto stało się czynnikiem, którego nie doceniała, zdaje się, strategia niemiecka. Jakkolwiek Niemcy trzymają się uparcie tych stanowisk, na których im zależy — jak n.p. Tarnopol — to jednak dalsze cofanie się linii niemieckich jest rzeczą nieuniknioną. Nie widać na razie żadnych oznak, ażeby wojska niemieckie istotnie miały przejść do przeciwnatarcia. Być może, że przed majem nie dostrzeżemy żadnych w tym kierunku oddechów. Wydaje się, że linia niemiecka trzymana jest na Wschodzie o wiele mniejszymi efektami, aniżeli się przypuszcza.

W tych warunkach liczyć się należy z dalszym pochodem sowieckim. Niczego ponadto nie da się na razie powiedzieć.

## FINOWIE, RUMUNI I INNI

Rząd fiński dał odpowiedź na żądania sowieckie i na razie nie wiemy, jakie będą na to reakcje Moskwy. Wydaje się, że Finlandia chciałaby uzyskać lepsze warunki i że sprawa internowania wojsk niemieckich na północy stanowi jeden z punktów najbardziej drażliwych; Finlandia nie chce również wycofać swoich wojsk przed zakończeniem rokowań i podpisaniem zawieszenia broni.

Szwecja odegrała rolę pośrednika i, jak należy przypuścić, postarała się o to, ażeby ton odpowiedzi fińskiej nie był zbyt nieugodowy. Parlament fiński wyraził swoje wotum zaufania dla rządu. Poważniejsze pisma w Anglii zaznaczają, że rząd fiński dba o to, ażeby mieć za sobą poparcie społeczeństwa fińskiego, albowiem dobrze pamięta czas, kiedy to Finlandia była ogarnięta niepokojem wewnętrznym w roku 1917-ym, rząd chce uniknąć potwórnego się tego stanu. Dlatego kroki rządu fińskiego są ostrożne.

Nie wiemy, jak długo potrwać rozmowy, ale wydaje się, że Szwecja jest dzisiaj czynnikiem, który nalega na ugodę z Rosją; Szwecja, państwo trzeźwej kalkulacji politycznej, dochodzi do wniosku, że wprawdzie Rzesza jest pobita, ale ośrodkiem siły jest na razie Rosja i że lepiej ku niej sterować. Podobnie myśli zresztą i Turcja, której prasa bardzo wyraźnie przechodzi na podwódkę rosyjskie. Tak jak w r. 1937-ym oraz 1938-ym w Europie oglądaliśmy zwrot ku Rzeszy, albowiem siła Niemiec przyciągała, tak dzisiaj w niektórych państwach możemy widzieć już orientację ku Rosji, albowiem znowu siła przyciąga. Polityka sojusznica winna wziąć pod uwagę ten czynnik. Dopóki polityka aliancka nie przejawia mocniejszego stanowiska, to "dryfowanie," mówiąc języ-

kiem morskim, ku Rosji, stanie się zjawiskiem powszechnym. Są bowiem w polityce niezmiennie zasady, a jedną z nich jest działanie siły; dopóki nie stworzy się przeciwwagi dla tej siły, własnego ośrodka siły, magnetyzm siły będzie działał — i nic tego podstawowego faktu fizyki politycznej nie zmieni.

Jeszcze jednym dowodem jest misja księcia rumuńskiego Stirbey'a. Był on przez lat 30 doradcą rumuńskiej królowej Marii, potem wyjechał na wygnanie, albowiem przeciwny był rządowi Karola. Dzisiaj ks. Stirbey udał się do Egiptu, a podobno przedstawi on plany, które zreagował razem z przewodcą opozycji, Maniu. Planu te, jak chce część prasy, polegają na tym, że Rumunia godzi się na odstąpienie Besarabii, natomiast chce kompensaty w Siedmiogrodzie, a więc kosztem Węgier. Rumunia chciałaby również, ażeby kraj był przedmiotem okupacji mieszanej, a zatem aby wojska amerykańskie oraz angielskie brały w niej również udział.

O Bułgarach na razie cicho. Pogłoski, jakie chodzą, a które notowaliśmy tutaj, wyglądały od razu na przedczesne. Faktem jest natomiast, że Dr. Smoladka, wysłannik Tity, przebywający obecnie w Bari/tam naradza się pono z marszałkiem Badoglio, wiezie ze sobą do Londynu także pewne sugestie agrariuszy

i komunistów bułgarskich. I tutaj zatem sowiecka polityka przejawia olbrzymią żywotność.

## UZNANIE BADOGLIA PRZEZ SOWIETY

Rząd sowiecki pośpieszył się i uznał rząd Badoglia. Dlaczego dokonał tego kroku, który tak zaskoczył szczególnie radykałów brytyjskich, głoszących, iż "nie można pertraktować z faszystami"? Albowiem rząd sowiecki pertraktował zawsze z tymi, którzy byli w danej chwili wygodni dla Moskwy i nigdy nie mieszal względów ideologicznych z polityką praktyczną. Rząd sowiecki bodaj pierwszy uznał Mussoliniego. Nie wahał się wejść w układy z Hitlerem. Molotow jesienią r. 1939-ego i później wołał, że czas przerwać tę "imperialistyczną wojnę".

Oczywiście potem, gdy Rzesza zaatakowała Moskwę, wojna była już w porządku. Albowiem Rosja ma swoje miary i tylko naiwni lewicowcy w pewnych krajach uważają, że Moskwa kieruje się względami "ideologii." Dzisiaj ci panowie są wielce zaskoczeni. Miejmy nadzieję, że wydarzy się im to jeszcze nie raz, albowiem taki już jest los naiwności. Moskwa, jak zaznacza "Observer" z dnia 19.III., doszła do wniosku, iż cała komisja śródziemnomorska pracuje leniwie i że najgorszym czynni-

kiem są... liberalowie, jak Sforza czy Croce. Oczywiście dla nikogo, kto zna kierunki myśli sowieckiej, nie jest to niespodzianką. Liberalowie są niebezpieczni; lepsi do pertraktacji są wojskowi, czy nawet ekfazyści.

Ten sam "Observer" stwierdza, iż polityka sowiecka dąży do oskrzydlenia Polski przez wykazywanie łagodności wobec Finlandii oraz Włoch. Podobnie postępowała polityka Hitlera w dobie kryzysu monachijskiego, gdzie w sytuacji oskrzydłonego był Czechosłowacja. Wzór monachijski jest dalej aktualny.

"Sunday Times" z dnia 19.III. donosi, że istnieją poszlaki, iż Moskwa chciałaby, ażeby rząd czeski opuścił Londyn i ażeby przeniósł się do Kijowa. Moskwa chciałaby, ażeby rząd ten wkroczył zaraz do kraju, ażeby był na miejscu. To samo pismo zaznacza, że podniesienie Berlinga do godności naczelnego wodza armii polskiej w Zw. Sowieckim do wodzi, iż Moskwa będzie coraz więcej polegać na tych siłach i że one to będą stanowiły wojska "okupacji" na zachód od linii Curzona.

"Observer" z niedzieli powiada, że coraz wyraźniej rząd sowiecki opiera się na Komitecie Patriotów w Moskwie i że "deadlock" sowiecko-polski jest całkowity. Pismo to w dalszym ciągu bezpodstawnie sugeruje, że pewne "koła wojskowe" po stronie

polskiej przeciwnie są ugodzie. Jednocześnie jednak "Economist" stwierdza, że Sowiety nie mają nic przeciwko temu, ażeby Mannerheim rozmawiał z nimi, albowiem tak im jest wygodnie. Widać z tego, że stosuje się do Polaków szczególną normę. W tym względzie "Economist" ma rację.

## GRY WOKOŁO CASSINO

Nieszczęsne Cassino zbombardowano już tyle razy, iż nie wiadomo co z niego zostało. Ostatnie doniesienia powiadają, że wojska alianckie są na stacji kolejowej. Nie wiemy, jak się przedstawia szansa dalszego marszu.

Na przyczółku Anzio panuje głucha cisza. Widocznie obie strony doszły do wniosku, że gra nie jest warta świeczki i że na razie nie przedstawia to żadnego wojskowego interesu niszczyć sprzęt i ludzi. Sojusznicy nie podejmą chyba żadnej akcji, dopóki nie ruszy się front w dolinie Liri i dopóki nie zostaną dokonane takie ruchy na froncie, któreby sugerowały, że zdobycie Rzymu jest możliwe.

Bombardowanie Włoch postępuje. Bomby spadają na Florencję i inne miasta. Zniszczenie Włoch będzie ogromne.

## BOMBARDOWANIE RZESZY

Akcja bombardowania Rzeszy postępuje naprzód. Nowe uderzenia na miasta niemieckie przy pomocy największych sił użytych dotychczas dowodzą, iż jesteśmy dalej w tej fazie, kiedy RAF i Amerykanie mają przed sobą jeden tylko cel: zniszczyć "Luftwaffe" i sparaliżować przyfrontie ewentualnego uderzenia inwazyjnego.

Przeplotenie "Luftwaffe" jest, jak mówiono niedawno, kwestią do dwu miesięcy. Oczywiście, jeżeli pogoda będzie służyć. Nie wiemy, czy termin nie jest nieco za bliski, ale nie jest wykluczone, iż złamanie "Luftwaffe" mogłoby być dokonane w takim właśnie okresie. Było by rzeczą ciekawą, gdyby właśnie ta broń, która pierwsza torowała szlak zwycięstw armiom Rzeszy, była pierwszą bronią pobita. Było by to również wcale ciekawą, gdyby tak jak w wojnie poprzedniej flota wojenna, tak w tej wojnie flota powietrzna Rzeszy stała się pierwszą, która zaczęła wykazywać pewne odrochy buntu.

W każdym razie wydaje się, że sojusznicy chcą przepędzić "Luftwaffe," albowiem tego rodzaju manewr oddaje im panowanie nad niebem, a zatem dalej wielkie szanse powodzenia dla jakiegokolwiek inwazji.

Tego rodzaju akcja jest w całkowitej zgodzie ze strategią sojuszniczą, która dąży do oszczędzania ludzkiego życia i chce stworzyć wszędzie gdzie atakuje takie warunki, w których ofiara życia ludzkiego zostanie zredukowana do minimum. Oczywiście strategia taka oznacza potworne zniszczenie terenu i dobytku ludzkiego, z dobytkiem kulturalnym włącznie.

Londyn, dnia 19.III.1944.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

## Z tygodnia na tydzień

9 marca: Polskie samoloty myśliwskie atakowały cele ziemne na terenach okupowanych przez nieprzyjaciela. Ostrzelano m.in. grupę żołnierzy niemieckich. Wszyscy piloci polscy powrócili.

11 marca: W nocy z 10/11 polskie samoloty bombowe patrolowały nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi powróciły.

Za dnia polski lekki dywizjon bombowy bombardował obiekty wojskowe. Wszystkie załogi powróciły.

B. minister spraw wewnętrznych rządu w Vichy, Piotr Pucheu, skazany został na śmierć przez trybunał w Algierze, za zdradę Francji.

12 marca: W nocy z 11/12 polskie samoloty bombowe patrolowały nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi powróciły.

Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawę bombową. Do spotkania z lotnictwem nieprzyjacielskim nie doszło. Wszyscy piloci polscy powrócili.

13 marca: W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie zajęły Cherson oraz m. Skalat w Polsce.

14 marca: W nocy z 13/14 polskie samoloty bombowe patrolowały nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi polskie powróciły.

15 marca: W katedrze Westminsterskiej odsłonięto wotum Lotnictwa Polskiego, złożone Matce

Boskiej Ostrobramskiej.

W nocy z 14/15 polskie samoloty bombowe patrolowały nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi powróciły.

Polski lekki dywizjon bombowy atakował obiekty wojskowe na terenach nieprzyjacielskich. Wszystkie załogi powróciły.

Lotnictwo Sprzymierzonych przeprowadziło b. silny i skoncentrowany nalot na Cassino. Na cel mniejszy, niż 1 mila kw. zrzucono ponad 1.400 ton bomb.

Parlament fiński uznał sowieckie propozycje zawieszenia broni za nie do przyjęcia.

W nocy z 14/15 lotnictwo niemieckie przeprowadziło silny nalot zapalający na Londyn.

16 marca: Lotnictwo brytyjskie w nocy z 15/16 bombardowało Sztuttgart i inne ośrodki przemysłowe w Niemczech. W nalocie tym udział brało ponad 1.000 bombowców. Zrzucono około 3.000 ton bomb.

W nocy z 15/16 polskie samoloty bombowe patrolowały nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi polskie powróciły.

W nocy z 15/16 lotnictwo niemieckie przeprowadziło niewielki nalot na Londyn.

Polski lekki dywizjon bombowy atakował za dnia obiekty wojskowe. Wszystkie załogi powróciły.

17 marca: Lotnictwo amerykańskie bombardowało Wiedeń z baz nad Morzem Śródziemnym. Był to pierwszy nalot na to miasto.

Polski dywizjon myśliwisk osłaniał wyprawę bombową. Wszyscy piloci powrócili.

W Moskwie ogłoszono o zajęciu Dubna, Targowicy i Demidówki na ziemiach polskich.

18 marca: Lotnictwo niemieckie w nocy z 17/18 wykonało niewielki nalot na Londyn.

W nocy z 17/18 polski dywizjon bombowy patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie samoloty polskie powróciły.

W Moskwie ogłoszono o zajęciu przez Czerwoną Armię Jampola nad Dniestrem.

19 marca: W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie zajęły Krzemieniec w Polsce oraz Soroki w Besarabii. Dniestr został przekroczony w wielu miejscach.

W nocy z 18/19 lotnictwo brytyjskie bombardowało b. silnie Frankfurt nad Menem. W nalocie tej nocy brało udział 1.000 bombowców.

Ogłoszono, że w czasie jednego patrolu na Północnym Atlantyku brytyjska marynarka wojenna zatopila sześć niemieckich okrętów podwodnych.

## JESZCZE O FLOCIE WŁOSKIEJ

Oświadczenie Roosevelta o proponowanym przydzieleniu jednej trzeciej części floty włoskiej Rosji, a pozostałych dwóch trzecich W. Brytanii i St. Zjednoczonym — wywołało burzę na obu kontynentach. Badoglio zagroził dymisją, a opinia publiczna w Stanach i w W. Brytanii stanęła po jego stronie. W rezultacie zarówno Roosevelt jak Churchill wyłomaczyli, że chodzi nie o natychmiastowy podział, ale sugestie Stalina co do lepszego użycia floty.

Tym nie mniej sprawa nie przedstawia się jasno. Flota włoska już i tak podzielona jest między dwa obozy... wrogie sobie. Po stronie niemieckiej pozostały okręty liniowe "Impero" i "Cavour," kilka krążowników lekkich, dwa tuziny kontrtorpedowców i torpedowców, sporo ścigaczy i okrętów pomocniczych, oraz około pół setki okrętów podwodnych, z których jednak większość nie nadaje się do służby ze względu na stan techniczny i brak załóg.

Po stronie Sprzymierzonych znajdują się okręty liniowe "Italia," "Vittorio Veneto," "Dulio," "Cesare" i "Doria," 7 krążowników klasy "Condottieri," około 40 innych okrętów lekkich, oraz pewna ilość podwodnych.

Poza tym kilkanaście włoskich okrętów wojennych znajduje się w portach hiszpańskich.

Ale ter. pierwszy "podział" nie kończy się na tym. Bowiem część okrętów włoskich w portach sprzymierzonych współpracuje operacyjnie z flotami W. Brytanii i Ameryki, podczas gdy inne stoją na razie bezczynnie. Zależy to prawdopodobnie od nastroju załóg i stanu samych okrętów.

Całość sprawy przedstawia się dość dziwnie. Jeśli już ma zaistnieć jakiś podział floty włoskiej, to dla czego państwa, które z Włochami walczyły, jak Grecja, Jugosławia i inne — miałyby zostać pobawione tego udziału? Poza tym, jeśli "Nuova Ital." jest w naszym obozie, to znowu nie można odbierać jej floty i godzić w czułą strunę twch, którzy zerwali z Niemcami. Możliwość powstała by wtedy, gdyby Włosi rzeczywiście walczyli nie chcieli, lub nie mieli załóg do uruchomienia wszystkich swoich okrętów. Ale tu przypomnieć

należy, że okręty zbudowane dla wód śródziemnomorskich nie bardzo nadawać się będą w klimacie... arktycznym.

Jedno z pism brytyjskich wspomniało, że chodziło by raczej o wzmocnienie sowieckiej floty na Morzu Czarnym. Jednak, aby tam się dostać, trzeba przepłynąć morze Egejskie, Dardanele i Bosfor. Pierwsze jest wciąż jeszcze w rękach Niemców, podczas gdy obie cieśniny są w rękach Turcji.

Inne pismo przewiduje, że załogi sowieckie zostałyby wysłane na Morze Śródziemne celem obsadzenia okrętów włoskich. Trudno się na ten temat wypowiedzieć, ale może nie bez znaczenia jest fakt, że ostatnio w Zw. Sowieckim stworzono dwa ordery morskie — imienia Nachimowa i Uszakowa.

Pierwszy z tych admirałów rosyjskich wstawił się obroną Sewastopola przeciwko Anglikom i Francuzom w połowie XIX stulecia. Drugi na przełomie XVIII i XIX wieku pływał po Morzu Śródziemnym i podporządkował Rosji wyspy Jońskie oraz część Dalmacji. Imperium rosyjskie sięgnęło wówczas po Archipelag i Adriatyk, a choć próba ta nie została uwieńczona powodzeniem, to jednak nie wiele brakowało, aby bandera św. Andrzeja usadowiła się na tych wodach. Jeden z podwładnych Uszakowa brał nawet udział w zdobyciu Neapolu w r. 1800.

O samym Uszakowie — jego krótkotrwały sprzymierzeniec — Nelson, pisał w swoich pamiętnikach:

"The Russian admiral has a polished outside, but the bear is close to the skin. He is jealous of our influences and thinks whatever is proposed, that we are at the bottom."

## PIERWSZY LORD MÓWI

Pierwszy Lord Admiralicji wygłosił w Izbie Gmin przemówienie, z którego podkreślić należy następujące momenty:

"W r. 1941 traćiliśmy jeden statek handlowy na 181. W r. 1942 jeden na 233. W r. 1943 jeden na 344, przy czym w drugiej połowie tegoż

roku jeden na 1000. Jedna z grup eskortowych sama zatopiła 17 niemieckich okrętów podwodnych. Sygnał "pościg ogólny" — od czasu Nelsona bardzo rzadko powiewający na rejach okrętów królewskich, powiał na okręcie czołowym tej grupy, dowodzonej przez kmr. Walkera. W tej jednej akcji na Biskajach zatopiono 7 okrętów podwodnych.

13 brytyjskich okrętów wojennych oraz wiele handlowych stracono w konwojach z pomocą dla Rosji. Ale w sumie 88% statków przeszło szczęśliwie do Murmańska lub Archangielska. Niektóre statki trzeba było specjalnie wzmocnić by mogły pływac zimą po wodach arktycznych.

Z 11 "łamaczy blokad," wysłanych w ostatnim roku z Japonii do portów niemieckich z cennym ładunkiem surowców strategicznych — tylko 2 przedarły się przez linie brytyjskiej blokady, nie bez uszkodzeń zresztą. Pozostałe 9 nigdy nie ujrzały portu przeznaczenia.

W operacjach amfibijnych pod Nettuno stracono krążowniki lekkie "Spartan" i "Penelope" oraz kontrtorpedowce "Janus" i "Inglefield" a także 5 okrętów pomocniczych /desantowych/. Ale marynarka ponownie ocalała wojsko od zagłady.

Straty na Morzu Śródziemnym od chwili desantu na Sycylii wyniosły: 2 krążowniki, 10 kontrtorpedowców, 2 okręty podwodne i 10 okrętów pomocniczych."

H.M.S. "PENELOPE" ZATONAŁ

H.M.S. "Penelope", stracony pod Anzio — Nettuno, był jednym z najsilniejszych okrętów brytyjskich. Znano go powszechnie "Pepperpot," co na polski przetłumaczyć należy — "rzeszoto". W kadłubie jego było bowiem ponad 2000 dziur od pocisków i bomb npla.

W czasie nawiąskiego nateżenia "blitzu" na Malcie "Penelope" wstrzymała w ciągu 17 dni szereg bombardowań, w których brało udział około 1.000 samolotów. 3.000 ton bomb i dziesiątki tysięcy pocisków działek i karabinów maszynowych

padło wówczas na port. 14 razy nieprzyjacieli usiłował okręt storpedować z powietrza lub spod wody.

Mimo to krążownik o własnych siłach wyszedł z La Valette i dotarł do Gibraltaru, przebywszy w drodze trzydniowe dalsze bombardowania. Wyremontowany w Ameryce, w drodze powrotnej znowu był kilkakrotnie atakowany przez samoloty i okręty podwodne. Uczestniczył w licznych akcjach od Norwegii do Dodekanazu. I dopiero teraz, broniąc pozycji wojska na lądzie — uległ w boju.

Dowódca i większość załogi padła na stanowisku. Sympatia i współczucie Polskiej Marynarki Wojennej dla H.M.S. "Penelope" są tym bardziej szczerze, że okręt ten był towarzyszem walk i przeżył O.R.P. "Sokol." "Sokol" znajdował się również na Malcie w krytycznym okresie i tylko tym dwom okrętom udało się wówczas — dzięki dzielności załóg — wyjść z opresji obronna ręką.

## 900 OKRĘTÓW

Minister Marynarki Wojennej U.S.A., Knox, oświadczył, że Marynarka ta liczy obecnie ponad 900 okrętów, nie licząc pomocniczych mniejszego typu. Z początkiem wojny liczyła 344. Mimo więc poważnych strat, wzrosła prawie trzykrotnie. Rekord trudny do pobicia.

## BITWA POD YMUIDEN

Lekkie siły brytyjskie zaatakowały w pierwszych dniach marca port holenderski Ymuiden, broniący przez okręt obrony wybrzeża, 9 ścigaczy, 4 traulery i baterie brzegowe. Trzy okręty wojenne i statek handlowy nieprzyjaciela zostały zatopione, kilka innych odniosło uszkodzenia. Ścigacze i kanonierki brytyjskie powróciły szczęśliwie z niewielkimi stratami w ludziach. Przedsmak inwazji.

## POLSKA MARYNARKA WOJENNA

W ostatnich miesiącach ubiegłego roku polskie kontrtorpedowce "Słazak" i "Krakowiak" wielokrotnie eskortowały ważne kon-

woje na Morzu Śródziemnym, oraz patrolowały na wodach Dodekanazu. W czasie najgroźszych walk o Samos, Leros i Kos operowały wokół wysp, wspomagając brytyjskie i greckie wojska na lądzie. O.R.P. "Krakowiak" kilkakrotnie bombardował brzegi wysp Kos, Kalimnos i Levita. Odparł też poważny atak lotniczy opodal Krety.

W czasie przeprowadzania ważnego konwoju sprzymierzonego w basenie śródziemnomorskim — O.R.P. "Słazak" przewodził całej eskorcie, złożonej z krążownika brytyjskiego, kilkunastu kontrtorpedowców brytyjskich, amerykańskich, greckich oraz O.R.P. "Krakowiak". Nieprzyjaciel dwukrotnie usiłował zniszczyć konwój, przy czym samoloty torpedowe, bombowe oraz "Heinkle 177" z bombami szybowcowymi — dokonały nań ponad 20 nalotów, w łącznej sile około 60 maszyn. Naloty te pierwszego dnia trwały prawie trzy godziny, a jednego z dni następnych półtorej godziny.

Ogień okrętów eskorty ze "Słazakiem" na czele był tak skuteczny, że mimo zrzucaenia dużej ilości bomb szybowcowych, zwykłych, oraz torped — tylko jeden statek konwoju został trafiony. Zestrzelono co najmniej 8 samolotów, a uszkodzono kilka innych.

Załogi brytyjskie, amerykańskie, greckie i polskie rywalizowały ze sobą w odwadze, dzielności bojowej i zręcznej obsłudze sprzętu. Strat na okrętach wojennych — mimo prawdziwego grądu bomb i torped — nie było. Dowódca "Słazaka" — komandor-podporucznik T. — okazał się godnym zaufania, jakim dowództwo Marynarek Sprzymierzonych obdarzyło go, powierzając mu cenny konwój i dowodzenie tak licznym międzynarodowym zespołem.

Nie jest to pierwszy wypadek gdy "Słazak" przewodził zespołowi. Już w bitwie pod Salerno jego dowódca dowodził zespołem z 10 kontrtorpedowców — 8 brytyjskich i 2 polskich. Tym razem jednak zadanie było jeszcze trudniejsze.

Polacy mogą być dumni, że młoda ich Marynarka Wojenna zyskała tyle uznania i zaufania ze strony największych i najstarszych marynarek świata.

JULIAN GINSBERT

# Wojna na morzu

## Polska — żywymi oczami

# W domu\*

Człowiek ścigany na ulicy, szykanowany przy pracy, głodny i źle odziany — dzień cały krąży myślą wokół domu lub tego, co mu z domu jeszcze zostało. Czasy wojennej zawieruchy, czasy rozpetania złych mocy w świecie zewnętrznym sprzyjają wzmoczeniu uczuć rodzinnych, wzmagają tęsknotę za szczęściem osobistym. I mimo śmierci, która uderzyła niemal w każdą polską rodzinę, mimo tysięcy rozbitych małżeństw, mimo rosnących co dnia tragicznych zastępów sierot i wdów — zakwitło, jak nigdy przedtem życie rodzinne, ludzie sprężyli się uczuciowo silniej, niż kiedykolwiek.

W pędzie do utrwalenia tego, co każda chwila może zniweczyć, zawiązała się w Polsce ogromna ilość małżeństw. Pary stojące obecnie przed ołtarzem rzadko mają w sumie 40 lat. Mimo trudnych warunków materialnych, zupełnej niepewności nie tylko jutra, ale każdej godziny, małżeństwa te mają dzieci nieraz rok po roku. W rozmowach moich o Kraju, zapytywana o ludzi stamtąd, niemal równie często, jak: — "nie żyje," odpowiadam: — "ma dziecko." Jest w tym może biologiczna dążność do wyrównania strat, zadanych przez wojnę: rodzina w Polsce przeżywa swoje wyraźne odrodzenie, życie wypłoszone zewsząd, chroni się w ściany domu.

Niewiele pozostawili nam Niemcy z materialnej strony domu. Sprawa mieszkaniowa jest jedną z najtrudniejszych stron życia pod okupacją. W specjalnie ciężkiej sytuacji jest pod tym względem Kraków, który jako stolica Generalnego Gubernatorstwa musiał pomieścić wielotysięczną strefę urzędników z rodzinami, centralę Gestapo, wreszcie liczne rzesze ewakuowanych z bombardowanych okolic Niemiec.

Na biura i urzędy zarekwiroвано wszystkie gmachy publiczne, szkoły i uczelnie zostały zajęte na koszary lub szpitale. Niemcy lubią urzędować szeroko i biurokracyjnie, potrzebują dużo miejsca. Gestapo, zajmując duży i nowoczesny budynek "Domu Śląskiego" na Pomorskiej, rozszerzyło się następnie na cały Plac Inwalidów, rugując mieszkańców. Jako jeden z pierwszych padł ofiarą dom profesorów U.J. na Ruskiej. W zajętych na biura budynkach Niemcy wykonują wszędzie jednakowe, charakterystyczne dla nich przeróbki: dzielą większe sale na małe pokoiki zapomocą wewnętrznych ścianek oraz budują przejścia między sąsiednimi domami, zabezpieczając się przed ewentualnymi walkami ulicznymi.

Wysiedlenia związane z rekwizycją dla urzędów i wojska nie byłyby jeszcze niczym szczególnie uciążliwym, plagą stają się przetrzucenia tysięcy ludzi dla utworzenia dzielnic według narodowości. Tak więc w Krakowie, w pierwszym stadium zaprojektowano dzielnicę niemiecką w okolicy Parku Krakowskiego, żydowską na Podgórzu /jeszcze przed zamknięciem ghetta/, Polacy mieli prawo mieszkać w całym mieście z wyjątkiem dwóch wymienionych dzielnic.

W praktyce wyglądało to tak, że niesłychanie brutalnie wyrzucono Żydów z Kazimierza. Przez dwa tygodnie czasu przesiedlania, szalały na Kazimierzu rewizje, słychać było nieustanną strzelaninę. Dla zupełnej swobody rabunku zamknięto Polakom dostęp na cały czas, wstrzymano nawet komunikację tramwajową.

Z części Podgórza, przeznaczony dla Żydów, wysiedlono Polaków, głównie rzemieślników, posiadających tam najczęściej własne małe domki. Jednocześnie usuwano coraz konsekwentniej Polaków z dzielnicy niemieckiej, rozszerzając coraz bardziej jej zasięg. Potrzeby niemieckie wrazały bezustannie, poza tym Niemcy woleli rozprzestrzeniać się między ludnością polską, a unikać skupisk własnych, niebezpiecznych ze względu na możliwość bombardowa-

wania.

Wszystkie te praktyki przesiedleńcze mogłyby w odpowiednich warunkach i przy dobrej woli okupanta być tylko utrudnieniem, a nie plagą. Niemcy jednak dokładali wszelkich starań, aby do wszystkich cierpień okupacji dołączyć jedno z najboleśniejszych — bezdomność. Od humoru urzędnika z "Wohnungsamt" zależy, czy termin jest dwutygodniowy, czy, co najczęstsze, trzydniowy, czy nawet "sofort." Od humoru również zależy, czy wolno zabrać rzeczy, czy też wychodzi się z walizką, jak mówi popularny dowcip krajowy: "z teczką."

Nakaz zostawiania rzeczy na miejscu początkowo dotyczył tylko Żydów, już jednak od jesieni 1940 roku stosowano ten system i do ludności polskiej. Tak nie pozwolono niczego zabrać mieszkańcom ul. Żuławskiego, bez rzeczy wyrzucono też rodziny profesorów uniwersytetu z Al. Slowackiego. Parę dni po uwięzieniu profesorów oderwano zrozpaczone kobiety od murów więzienia na Montelupich rozkazem wynoszenia się z domów. Dano im całe trzy godziny czasu, zaś dla uprzyjemnienia wyprowadzki — wyłączono światło. Można zresztą było i po ciemno spakować odrobinę osobistych rzeczy, które nowi lokatorzy uznali za własność wyprowadzających się. Zostały na miejscu bezcenne biblioteki, płótna Falata i Chelmońskiego. Szoferzy niemieccy palili w piecach całą zimę książkami romanisty krakowskiego. Niszczono dla samej przyjemności niszczenia.

Dokuczanie, jako cel sam w sobie, było normalnym porządkiem postępowania. Wysiedlenia spadały zawsze w najmniej oczekiwanym momencie i najczęściej w czasie dotkliwego zima. Wysiedlono n.p. w czasie ciężkiej zimy 41/42, całą ulicę Słoneczną, składającą się co prawda z samych no-

wych domów, lecz dość odległą od śródmieścia. Mieszkania te stały następnie całą zimę puste, ponieważ kolejarzy niemieccy, dla których je przeznaczono, nie chcieli mieszkać tak daleko od miejsca pracy. W rezultacie popękały wszystkie rury wodociągowe, mieszkania zostały zalane wodą, ściany się zarzysowały. "Korzyść" z tego była tylko jedna: tysiące Polaków utraciły dach nad głową.

Polityka wysiedleńcza biura mieszkaniowego zmienia się bezustannie: projektuje się trzy dzielnice, potem po zlikwidowaniu ghetta dwie. W pewnym okresie dopuszcza się dzielnicę mieszaną, po paru tygodniach zarzuca się ten projekt. Granice poszczególnych dzielnic są płynne i coraz to inaczej określone. Rzuca się coraz nowe pogłoski dla wzniesienia niepokojów. Co najmniej co trzy miesiące szerzy się nagminnie plotkę o zupełnej ewakuacji miasta i przeznaczaniu go wyłącznie dla Niemców. Masa plotek — o burzeniu poszczególnych dzielnic, o wysiedleniach i przesiedleniach wychodzi ze źródeł niemieckich, często zupełnie jawnie.

I tak jakoby miano zburzyć Dębniki, i wybudować tam monumentalny dworzec. Pod górą św. Bronisławy miał przechodzić tunel kolejowy. Skończyło się na niczym, ale mieszkańcy Dębnik żyli kilka tygodni w ciągłym strachu przed wyrzuceniem. Ludzie zastraszeni ewentualnością przesiedlenia w trzy godziny bez prawa zabrania rzeczy, wyprowadzają się "profilaktycznie," narażając się na niepotrzebne trudy i koszty. Przeprowadzka następcza ogromne trudności techniczne. Biura transportowe przyjmują zamówienia na wozy meblowe tylko na dwa miesiące z góry, wozi się więc rzeczy ręcznymi wózkami, taczkami, dźwiga się je w koszach. Mam w Krakowie znajomych,

których wyrzucano pięć razy. Bywa, że wysiedlają z nowego mieszkania w dwa tygodnie po jego objęciu. Ludzie żebrzą w "Wohnungsamt" nie o przydział mieszkania, bo o tym nie ma mowy, lecz o wiadomość, w jakich stronach zamieszkać, żeby choć w najbliższym czasie nie wysiedlano.

W związku z ewakuacją zbombardowanych miast niemieckich, specjalnie brutalnie wyrzucono całe dzielnice. Tak na jesieni 1942 wysiedlono Osiedle Oficerskie, gdzie sprowadzili się Niemcy z Lubeki. Mielśmy też wątpliwą przyjemność zawarcia znajomości z obywatelami Bremy, Essen, Hamburga. Ludzie ci, przychodząc bez niczego, otrzymują wszystko gotowe po Polakach, trzeba im zostawić nawet pościel. Gdy organy opieki społecznej próbowały interweniować choćby o uzyskanie trochę dłuższych terminów wysiedlenia, argumentując zupełnym brakiem mieszkań, oficjalna odpowiedź brzmiała: — "Jeśli nie macie dokąd pójść, zawsze dla was znajdzie się miejsce w Oświęcimiu."

Niemieccy urzędnicy "Wohnungsamt" to hieny żerujące na ludzkim nieszczęściu; mają oni otwarte pole do szantażu i łapówek. "Uczciwsi" z nich wykonują zobowiązania wynikłe z udanego szantażu, większość po wyludzeniu okupu uważa sprawę za załatwioną i nie interesuje się dłużej losem bezdomnego. Urzędnik taki jest rzeczywiście panem codziennego życia każdego człowieka. Pomijając już ewentualność pozbawienia dachu nad głową, zawsze trzeba się liczyć z łagodniejszą formą kryzysu mieszkaniowego, z rekwizycją części lokalu. O współżyciu z niemieckimi lokatorami pod jednym dachem napiszę osobno, łatwo sobie jednak wyobrazić, jak wiele tu zależy od takiej czy innej obsady mieszkania. Można mieć 4-pokojowe mieszkanie przy niemieckiej ro-

zynie, z gromadą dzieci, z radiem ryczącym całą omal dobę, i z dogiem /ulubiony pies Niemców, tresowany, jako obrońca/. Kolejki do kuchni i łazienki /właściciel mieszkania jest oczywiście z łaski tylko tolerowany/ zmuszają do wstawania o 5-ej rano, aby móc zdążyć do pracy. Złagodzenie tych stosunków, ratunek przed brutalnymi awanturami na każdym kroku, leży w ręku urzędnika, przydzielającego lokatorów...

Urzędnicy ci urzędują tak gorliwie i... bezinteresownie, że sami Niemcy urządzają od czasu do czasu czystki w "Wohnungsamt," stwarzając ostateczny bałagan i zamieszanie.

Już od kilku lat ludzie w Krakowie są bez przerwy w poszukiwaniu mieszkania. W praktyce prawie czysto polskie są tylko jeszcze dzielnice za Wisłą: Podgórze i Dębniki. I tam jednak każdy porządniejszy dom jest w każdej chwili stale zagrożony. Ludzie są już tak zmęczeni ciągłymi przeprowadzkami, że niemal wdychają do momentu, kiedy ich już całkiem z Krakowa wyrzucą i gdy nie będą mieli czego przewozić z miejsca na miejsce. Specjalnie nieszczęśliwi są ludzie posiadający duże biblioteki. Widziałam paradoksalne sytuacje, gdy patrzono omal że z bliskim nienawiści na własne skrzynie z najukochańszymi książkami, lub srebrnymi rodzinny, stanowiącymi źródło utrzymania. Nad wszystkim górowało pytanie: jak to przenieść?

Ciągły "ruch mieszkaniowy" wytwarzany przez Niemców ma na celu właśnie doprowadzenie ludzi do stanu bezustannego znużenia i niepokoju, do obrzydzenia nawet własnego rodzinnego kąta. W obliczu niebezpieczeństw, terroru, grozy wywiezienia, uwięzienia i śmierci, prześladowania mieszkaniowe są właściwie mniej straszne, ludzie też pocieszają się wzajemnie: — "Cóż to za zmartwienie mieszkanie, gdy jutro mogą nie żyć."

Rozumowanie jednak nie zmienia faktu, że na codzien człowiek nigdzie już nie ma schronienia. Zanika ochota do posiadania przyzwoitego mieszkania. Przeciwnie, szuka się mieszkania jak najgorszego. Wybiera się daleką ulicę, jak ognia unika się wszelkiego komfortu, łazienki, nawet elektryczności. Każde przyzwoitsze mieszkanie zaraz przynęca Niemców. Ludzie nie starają się o przyzdobienie swego domu. Nikt niczego nie naprawia, nie odnawia. Schowano głęboko dywany, franki, obrazy. Im gorzej mieszkanie wygląda, tym pewniej można się czuć u siebie. Zastałam niegdyś znajomą moją na drabinie, demolującą w łazience sufit: — "Muszę stworzyć wrażenie, że się tu nam dach wali na głowy" — powiedziała w przystępie desperackiego humoru.

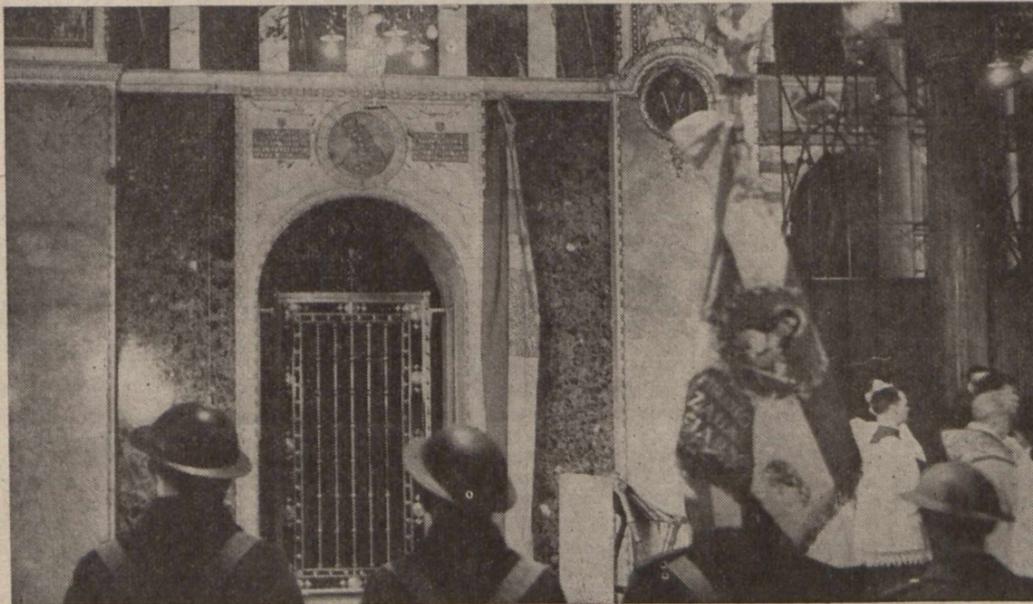
Zgęszczenie lokatorów, z natury rzeczy doprowadza mieszkania do oplakanego stanu. W każdym polskim domu mieszka po kilka rodzin. I w tej sprawie, jak w wielu innych, święci triumfy prawdziwie braterska solidarność. Wyrzuceni trzeci, czy czwarty raz z mieszkania nie mają w przeludnionym mieście najmniejszych szans znalezienia samodzielnego locum. Niemcy dają do dyspozycji dawne bóżnice na Stradomiu, gdzie same przeróbki musiałyby pochłonąć kilkadziesiąt tysięcy złotych. Wynając z wolnej ręki można już najwyżej "łóżko" t.zn. kąt do spania w pokoju innej rodziny.

Mimo to nikt nie zostaje na ulicy. Spora ilość Krakowian odeszła co prawda z miasta do gmin pobliskich: Borku Fałęckiego, Woli Justowskiej, na Czerwoną Prądnik, a nawet dalej jak do Bieżanowa. Olbrzymia większość pomieściła się jednak w domach krewnych, przyjaciół, lub znajomych. Rozszerzyły się dosłownie domy polskie w Krakowie, przyjmując gościnnie najpierw wysiedlonych z Ziemi Zachodnich, następnie sąsiadów swych, pozbawionych dachu nad głową. Dzielią się dziś w Polsce ludzie czym mogą: groszem, lyżką strawy i — co nieraz może najtrudniejsze — ostatnim kątem w mieszkaniu.

MARIA BRZESKA

## Ze Święta Dywizjonu Wileńskiego

Poczet sztandarowy Dywizjonu przed wotum zawieszonym w Katedrze Westminsterskiej dnia 15.b.m.



Od lewej: Minister Obrony Narodowej, Premier Rządu, Przewodniczący Rady Narodowej, Prezydent Rzeczypospolitej, Naczelny Wódz i Inspektor Polskich Sił Powietrznych — na nabożeństwie w Katedrze Westminsterskiej.



\* Por. poprzednie artykuły cyklu: "Powszedni dzień terroru" druk. w nr. 6, "Życie ulicy" druk. w nr. 7, "Wobec wydarzeń wojennych," druk. w nr. 8, "Dziecko i matka," druk. w nr. 10, "Kobieta w walce," druk. w nr. 11 "Polski Walczącej" z b.r.

# Piosenki 8-ej Armii

Powszechnie przyjęło się mniemanie, że wojna obecna nie zrodziła żadnej żołnierskiej piosenki. Że muza — wierna towarzyska żołnierzy dawnych wojen — zamilkła przerażona łomotem czołgów, loskotem śmigieł samolotów, hukiem bomb rozrywających się nad miastami. W kilku pismach ukazały się artykuły w tym tonie, kilku pisarzy podjęło się uzasadnić istniejący stan rzeczy i — szeroka publiczność uwierzyła, że wojna zmotywowana, wojna totalna obchodzi się bez pieśni żołnierskiej.

Moje wrażenie jest raczej inne. Najwierniejsza towarzyszka żołnierza, piosenka nie opuściła go i w tej wojnie. Stała się tylko jeszcze bardziej żołnierska. Przebywa w żołnierskich szeregach i nie dociera do publiczności. Któż zna w Londynie, w emigracyjnych kołach, piosenki, które rozbrzmiewają na stacjach lotniczych, na okrętach R.P., w obozach *Middle Eastu*? Piosenka żołnierska jest dziś piosenką odczuwaną, rozumianą i znaną tylko wśród żołnierzy. Dlaczego stało się właśnie tak — nie wiem. Choć widziałem, jak powstają piosenki, nie umiem powiedzieć jednak, jakie wartości w nich zawarte rozstrzygają o ich przyjęciu się lub zapomnieniu. Gust żołnierskiej braci jest równie nieodgadziony i kapryśny, jak gust publiczności teatralnej.

Zmienne losy mojej żołnierskiej służby pozwoliły mi poznać, jak rodzą się, rosną, przyjmują się lub przemijają piosenki żołnierskie w różnych żołnierskich środowiskach: w 8-ej Armii, wśród lotników, wśród marynarzy, w obozach polskich *Middle Eastu*. Pragnę dziś opowiedzieć historię piosenek słynnej 8-ej Armii, obok której walczy nasz II Korpus.

## "WALTZING MATHILDA"

Każdy z przybywających oddziałów przynosił swoje piosenki. Były oddziały szkockie, angielskie, południowo-afrykańskie, nowozelandzkie, australijskie i hinduskie. Z morza melodii wyrosła i spopularyzowała się najbardziej: "Waltzing Mathilda." Jej porywająca, taneczna niewstrzymana w swej żywiołowej sile melodia przemówiła najsilniej do żołnierzy pustyni. We wszystkich *pub'ach* Kairo, w kantynach N.A.A.F.I. na punktach przeladowniczych, etapach aż po wysunięte placówki pierwszej linii rozdzwoniła się taneczna melodia, przeniesiona na bliższą pustynię przez australijskich *Diggerów*. Czasem takt jej wydzwaniało kufkami, jeśli śpiewający siedzieli w kantynie, czasem porywające dźwięki walca wybijały się ponad trzask karabinowej palby i głużyły huk granatów ręcznych, jeśli "Mathilda" towarzyszyła *Diggerom* idącym do ataku.

Przez długie dwa lata "Waltzing Mathilda" rozbrzmiewała na całej przestrzeni pomiędzy Kairo i Benghazą — szła wiernie w żołnierskim szeregu, dzieląc radości i natarcia, gdy na każdym kroku wpadały w ręce wiecznie spragnionych *Diggerów* pękate flaszki włoskiego wina i podtrzymywała swą żywiołą siłą upadające serca, gdy w tragiczne dni odwrotu trzeba było pozostawiać na łasce wroga rannych towarzyszy broni. "Waltzing Mathilda" dwukrotnie doszła do Benghazy i dwukrotnie cofnęła się aż poza granice Egiptu. Była przez długi czas bojową piosenką 8-ej Armii.

Raz jeden tylko popularność jej została zagrożona. Legia Cudzoziemska wycofując się spod Ben Hakeim miała oddziały 8-ej Armii śpiewające "Marsyliankę." Tej chwili opisać niepodobna. Raz jeszcze nieśmiertelne: *Amour sacré de la patrie*... stało się pieśnią wojenną ludzi bijących się o wolność świata. Ale szeregi generała Koeniga odeszły, zanim żołnierze 8-ej Armii zdążyli nauczyć się "Marsylianki" — i "Mathilda" wróciła do swych praw.

Spod El Alamein raz jeszcze taneczne dźwięki poprowadziły żołnierzy 8-ej Armii do ostatecznego, tym razem, zwycięstwa. Ale zwycięski marsz 8-ej Armii — stał się jednocześnie początkiem zmierzchu "Waltzing Mathilda." W miarę jak posuwano się na zachód, w miarę, jak rosła zdobycz, gdy

w setki liczyć zaczęto zdobyte na "szkopach" gramofony i płyty — popularność "Mathilda" zaczęła maleć. Zagroziła ją "Lili Marlene."

## "LILI MARLENE"

Po raz chyba pierwszy w dziejach wojen jedna armia zdobyła na drugiej — piosenkę. Ze zdobytych płyt płynęły sentymentalne słowa piosenki o żołnierzu marzącym o rodzinnych koszarach, o stojącej przed bramą koszar latarni i o dziewczynie, czekającej pod tą latarnią na żołnierza. Melodia doskonale pasowała do krajobrazu libijskiej pustyni. Wieczorami, gdy wraz z zapadającym za pagórki słońcem, nikt uciążliwy żar i żołnierze zaczęli skupiać się przy ogniskach — zdobyte gramofony zaczynały swą piosenkę o dalekiej Europie, o niewidzianych dawno drzewach, o niewidzianych dawno ludziach, o niewiarygodnej, a przecież istniejącej tam daleko, za setkami mil pustyni, za tysiącami mil morza, Białej Kobicie.

"Lili Marlene" uderzała w tę strunę duszy żołnierskiej, która jest u żołnierza najbardziej intymna: tęsknota za pozostawioną gdzieś daleko — ukochaną kobietą. Gdy 8-ma Armia spotkała się z melodią "Lili Marlene" niektórzy żołnierze byli już czwarty rok poza swym krajem. Cóż więc dziwnego, że sentymentalna "Lili Marlene" zdobyła ich serca, że zapomniana została buńczuczna piosenka pierwszych lat wojny, towarzyska wierna pierwszych zwycięstw, kłęk, natarć i odwrotów: "Waltzing Mathilda"? W ślad za ustępującą armią Rommela, w zgrzycie czołgów, w łomocie lotniczych nalotów, huku artyleryjskich wystrzałów szła 8-a Armia. A gdy noc przerywała walkę, po obu stronach półminowych w dwóch wrogich sobie armiach żołnierze nucili tę samą melodię: "Lili Marlene."

## "DIRTY GERTIE"

"Lili Marlene" doszła do Benghazy czy może nawet do El Aghaila. Tam zastąpiła ją wesola, kpiąca z życia i świata melodia podłożona pod wesole, niezupełnie cenzuralne słowa nowej piosenki: "Dirty Gertie." Nowa piosenka opanowała 8-ą Armie, zaczęto ją nucić od dołu aż po szczyty. Jednego poranka słuchałem, jak nucił ją mój *batman*, potem w messie nucił ją dowódca *Flight'u*, a w H.Q. usłyszałem — o zgrozo — jak sam "Padre" nucił "Dirty Gertie," sortując przybyłą z Anglii pocztę.

"Dirty Gertie" narodziła się wśród szoferów kolumn dostarczających 8-ej Armii tego wszystkiego, co jest do walki i życia niezbędne. A na pustyni oprócz piasku i skał — nie było niczego. Wszystko należało dowieźć, wszystkiego dostarczyć na przewidzianą w planie godzinę na oznaczone z góry miejsce. Zwycięstwa 8-ej Armii zostały nie tylko wywalczone dzielnością brytyjskiego żołnierza, zostały one także — a może nawet przede wszystkim — zorganizowane.

Długie kolumny liczące tysiące *trucków*, pracowały jak transmisyjny pas pomiędzy bazami a frontem. Pracowały bez ustanku, pracowały "25 godzin na dobę," jak mówiono. Zaczawszy od amunicji a skończywszy na drzewie opałowym — wszystko musiało być dowieszone. Dostawy decydowały o możliwości walki. Żołnierz mógł nie jeść, ale musiał mieć wodę. Zapelował wazę do najgłębszych duchowych wartości oddziału, dowódca mógł utrzymać żołnierzy bez wody nawet do 50 godzin, ale czołgi bez wody i bez paliwa nie reagowały na najwznioślejsze apele. Po prostu stawały. Piloci mogli całe dni żywić się pastylkami *Horlicksa*, ale ich samoloty domagały się należytą porcji benzyny, amunicji i bomb. Ażeby mógł istnieć front musiał toczyć się bez przerwy, "25 godzin na dobę," potężne koła niezliczonych *trucków*. Bez przerwy musiał sunąć rozpedzony pas transmisyjny wiążący bazy i front.

Początkowo wszystko to działo się zgodnie z planem. Szoferzy mieli ścisły rozkład dnia, jazda, konserwacja sprzętu, odpoczynek, sen. Potem 8-ma Armia zaczęła iść naprzód w takim tempie, że wszystkie rozkłady zaczęły się rozsyptywać, jak domki z kart. Kolumna miała n.p. rozładować amunicję przy Hemessi, po siedmiu godzinach jazdy, czyli o 17-ej i po czterech godzinach odpoczynku powrócić do bazy na godzinę 4-tą rano, by po następnych sześciu godzinach odpoczynku zacząć ładowanie o godzinie 10-ej z rana dnia następnego. Ale front sunął niewstrzymanie naprzód i o godzinie 17-ej kolumna dotarła do Sidi El Hemessi znajdująca tam już tylko motocyklistę, który ją radośnie informował, że bateria przesunęła się do Hamma Zaid czyli o dalsze dwie godziny jazdy. Kolumna walila więc naprzód, ale by zacząć ładowanie o 10-ej dnia następnego, musiała zadowolnić się jednogodzinnym odpoczynkiem, by wrócić do bazy o 7-ej rano, już o 10-ej zacząć ładowanie. Szoferzy wiedzieli, że dostawy muszą być dowieszone na front. Spotykałem, pamiętam, całe kolumny *trucków*, prowadzone przez kierowców, którzy w ostatnich pięciu dniach mieli za sobą 106 godzin przy kierownicy i 14 godzin snu.

## TAJEMNICZE I SKANDALICZNE OKOLICZNOŚCI NA RODZIN

W takich kolumnach, wśród takich właśnie ludzi narodziła się "Dirty Gertie." Przyjście jej na świat było nieładną sensacją w Beni Quid, gdzie mieściła się H.Q. służby transportów. Major Hencloff był pierwszym, który zobaczył na jednym z samochodów elegancką, wysoką blondynkę wspartą czule na ramieniu kierowcy. Ale major był zajęty i nie zwrócił na to uwagi. Dopiero po lunchu, gdy plk. Higs z oburzeniem wspominał o upadku dyscypliny, wyrażającym się w wożeniu kobiet na wojskowych samochodach, major domyślił się o kogo tu chodzi.

Ale pomimo rozkazów pułkownika wysoka, piękna nieznajoma nie opuszczała rejonu Beni Quid. Widywano ją raz tu, raz tam. Przeważnie lubiła sztabowe limuzyny, choć nie pogardała zwyczajnymi *jeep'ami*. Ulubioną jej pozą było oparcie cudnej blond główki na ramieniu szofera, przetrucenie pielęgowanej, białej ręki przez jego plecy i kokietowanie mijanych żołnierzy tajemniczym, nieruchomym uśmiechem. Ten uśmiech, zakrój nieruchomych warg, jasne spojrzenie błękitnych, ocienionych długimi rzęsami oczu — stawały się wyzwaniem dla całego licznego sztabu H.Q. Służby Transportów w Beni Quid'zie. W H.Q. było wielu młodych oficerów, którzy już od miesięcy siedzieli w pustyni i którzy nie pominęli żadnej nadarzającej się sposobności, by zawiązać znajomość z piękną, tajemniczą blondyną.

Ale tajemnicza nieznajoma unikała oficerów, jak ognia. Ukazywała się tylko z szoferami. Nikt nigdy nie widział jej idącej. Nie bywała w messach. Jak meteor przecinała ulicę Beni Quidu to w tym, to w innym samochodzie. Gdy 2nd Lt. Bennett pragnął koniecznie poznać uroczą panią, postanowił jechać za uwożącym ją samochodem — dojechał aż do Quaina, gdzie samochód zatrzymał się przed magazynem prowiantowym i zaczął wyładowywać mrożone mięso. Ale miejsce koło szofera było puste i 2nd Lt. Bennett postanowił, że nigdy więcej nie będzie pił przed lunchem więcej, niż trzy whisky.

Kpt. John Gill był zupełnie trzeźwy, gdy rozpoczął pogoń za *jeep'em* wiozącym tajemniczą nieznajomą. *Jeep* zjechał do Składowicy Meldunkowej, tam szofer oddał kilka skrzynek z rakietami, ale był sam. Kpt. Gilles nie chwalił się swą przygodą, ale gdy i kpt.

Hiltona spotkał podobny zawód — przy barze wieczorem zgadali się wszyscy trzej i postanowili wysłuchiwać zagadkę "niknącej" piękności.

Właśnie omawiali plan akcji, gdy do namiotu — męsy wtoczył się sam pułkownik. Jego czerwona twarz była jeszcze czerwienią, a wypukłe oczy wprost wychodziły z orbit. — "Padre — czy *padre* wierzy w cuda?" Na wymijającą odpowiedź, pułkownik zaczął opowiadanie. I on wracał z pogoni za piękną nieznajomą. Wprawdzie tym razem pobudką pogoni była chęć ukarania kierowcy za nieregularne branie pasażerów, ale rezultat był — ten sam. Piękna blondynka znikła wśród namiotów *Maintenance Unit* i pułkownik nie znalazł "rzeczowej" podstawy, by ukarać zbyt uprzejmego dla pki pięknej szofera.

W ciągu następnych kilku dni prawie wszyscy oficerowie H.Q. Służby Transportów w Beni Quid padali ofiarą nieznajomej tajemniczej piękności. Wszystkie pogonie kończyły się niczym. Znikała. Ponieważ "Padre" zaprzeczył stanowczo, by mogły tu wchodzić w grę siły nadprzyrodzone, przeto messa musiała zadowolnić się jedynie logicznym wytłumaczeniem tajemniczego faktu znikania pięknej blondynki, jaki przedstawiał *Intelligence Officer* kpt. Brain: — "Po prostu — wyjaśniał kapitan — któryś z szoferów ma perukę i przebiera się dla zabawy. Gdy dojedzie do namiotów lub magazynów, zrzuca suknię, zdejmując perukę i po prostu jest znów żołnierzem — ku głębokiemu zawodowi naszych poszukiwaczy przygód." Tu kpt. Brain zerknął znacząco ku 2nd Lt. Bennettowi i kpt. Gillesowi.

Wyjaśnienie "Intelligence" musiało widocznie dojść do uszu pięknej nieznajomej, gdyż następnego dnia kilku oficerów H.Q. w Beni Quid miało niezbitą pewność, że tajemnicza blondynka nie jest przebrany szoferem. Śladem Lady Godivy przemknęła w biały dzień przez zakurzone uliczki w stroju składającym się z półczocho, pantofelków i kapelusza. Wspaniale zbudowana, wysoka, smukła, z długimi nogami i bajecznie zarysowanymi piersiami przekonała wszystkich napotkanych po drodze oficerów, że kimkolwiek jest — to na pewno nie jest przebrany szoferem.

Wśród spotkanych przechodniów był także i sam pułkownik. Okiem znawcy ocenił piękność kształtów tajemniczej nieznajomej — wyprostował swą okazałą postać i wypiął pierś do przodu tak gwałtownie, że aż zachrzęszały paski podtrzymujące lornetę i rewolwer. Długo patrzył za niknącym w obłokach kurzu *jeep'em*. Potem rozpełtał burzę. "Intelligence" został zbesztany, że pozwala na kręcenie się po terenie H.Q. osobom, których konduktu i moralności... Drugą ofiarą był dowódca wojskowej policji t.zw. "M.P.", którego obowiązkiem było wydawanie przepustek, kontrolowanie dróg — i w ogóle pilnowanie by wszystko co się dzieje, działo się zgodnie z przepisami *King's Regulation*. Trzecią ofiarą pułkownikowskiego gniewu był sam "Padre," którego pułkownik zarzucił, że gdyby mniej czasu spędzał przy barze męsy a więcej z żołnierzami organizując im "godziwe" rozrywki, na pewno nie było by wśród nich takiego zepsucia, które wyraziło się w tak niesłychanym skandalu, jak przejażdżki namiętnych kobiet — pułkownik lubił przesadzać i pomańczać fakty — po obozie w biały dzień, przed samym H.Q. Służby Transportów.

Gniew pułkownika drogą służbą spłynął na sierżantów, kaprali, "lance kaprali" i służbowych "M.P." Dni pięknej nieznajomej zdawały się policzone. Co najmniej setka wojskowych różnych stopni przysięgła sobie, że musi ją dogonić i przyprowadzić w triumfie przed jowiszowe oblicze pułkownika. A jednak piękna nieznajoma jeszcze dwa dni cieszyła się wolnością, którą lekkomyślnie zuży-

tkowała na przejażdżki po terenie H.Q., w czasie których swą posągową, marmurowo białą nagością wprawiała w stan podniecenia młodszych oficerów H.Q.

W pamiętną w Beni Quid'zie niedzielę podczas wizyty samego generała piękna nieznajoma przemknęła przed H.Q. właśnie w czasie po-lunchowej kawy. Generał wysłuchał wyjaśnień pułkownika spokojnie — jak na prawdziwego gentlemena przystało. Nie rzekł nic, tylko oczy jego zdawały się mówić: "ty mów a ja zdrów — ładne tu macie obyczaje na tyłach." Był to przedostatni "występ" tajemniczej, nagiej piękności.

Feralny poniedziałek przyniósł jej kłęk, kłęk, która ją zresztą unieśmiertelnia w pamięci 8-ej Armii. Gdy w czasie tradycyjnej 5 o'clock tea mijala H.Q. Służby Transportów, boską harmonią nagich kształtów rzucając wyzwanie oficerom H.Q. przednie koło *jeep'a* — natknęło się na gwóźdź. (Stary sierżant *Military Police* zawsze się dziwnie uśmiechał, gdy przy nim wspomniano o tym fatalnym gwóźdźu). Samochód stanął. Otoczyła go gromada oficerów. Z namiotów na lew na szyję biegli kierowcy i mechanicy. Zgromadzona ciżba rozsunęła się na boki przed nadchodzącym pułkownikiem.

Obok kierowcy, wesolego, znanego wszystkim łobuza Smith'a z londyńskich *East India Docks*, wspaniałego przedstawiciela nieśmiertelnej rasy *cockney'ów* — siedziała w hieratycznej, nieruchomej postawie naga kobieta. Jej błękitne oczy przesłonięte długimi rzęsami patrzyły jasno i otwarcie w twarz pułkownika. Lewe, dumne nieruchome ramie spoczywało w pieszczołowym przeczucie na szyi kierowcy Smith'a. Tlum otaczający samochód Smith'a i naga piękność rosł z każdą chwilą. Oficerowie grzyli usta do krwi, ażeby nie wybuchnąć śmiechem.

Pułkownik kłął w duszy chwilę, w której opuścił werandę H.Q. i zdecydował podejść do samochodu. Sytuacja stawała się bez wyjścia — lada chwila stanie się coś co już nigdy nie da się wymazać z pamięci żołnierzy z H.Q. w Beni Quid. Pułkownik miał za sobą wiele lat służby, wiedział, że tylko proste i jasne postawienie sprawy może uratować jego autorytet. Przesłał walczyć z ogarniającym go śmiechem. W ślad za pułkownikiem zatrzęsała się od śmiechu, gromada kierowców i mechaników.

Gdy przebrzmiały pierwsze salwy śmiechu pułkownik zabrał głos: — "Gdzie znalazłaś tę lalkę Smith?" — "W Benghazy, Sir. W zbombardowanym magazynie gotowych sukien — były tam dwie takie lalki, jedną trochę uszkodziła bomba, ale ta była i jest O.K. Nazywa się Gertie, Sir." — "Ile masz lat, Smith?" — "Za trzy miesiące skończę 19, Sir." Pułkownik wycofał się na werandę. Za nim ruszyli się oficerowie. Kierowcy i mechanicy otoczyli Smith'a i jego dużą lalkę z *papier-maché*.

Tegoż wieczora w Beni Quid'zie, w obozie Służby Transportów narodziła się nowa swawolna piosenka o Dirty Gertie. Nazajutrz kolumny transportowe dowiozły na front oprócz zwykłej amunicji, wody i żywności — także i nową piosenkę. Wracając eszelony zawiozły piosenkę do Kairo. Piosenka przyjechała się — była jak ogień na stepie. Gdy 8-ma Armia minęła Sfax, znalazł ją już co drugi żołnierz. Gry brano do niewoli resztki Afrykańskiego Korpusu z samym gen. Arnimem na czele — żołnierze 8-ej Armii uczyli tę chwilę śpiewając "Dirty Gertie." Z "Dirty Gertie" na ustach opanowali Sycylię — weszli do Włoch.

Od miesiąca już nie widziałem tych zuchów. Nie wiem, czy jeszcze zamierzają wmaszerować do Rzymu z "Dirty Gertie" na ustach, czy może już mają jakąś nową piosenkę, a "Dirty Gertie" poszła w zapomnienie wraz z "Waltzing Mathildą" i "Lili Marleną."

Dziwnie się rodzą, dziwnie żyją i giną żołnierskie piosenki wojny obecnej. Ale to, że Wy szanowni państwo ich nie znacie — to jeszcze nie dowód, iż ich nie ma.

**Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę — dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie**

**Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 3580 książek**

# Uzbrojony Krążownik Pomocniczy

Może to jest dziwne, niezrozumiałe, a nawet dla wielu i nie-realne, że okręt wojenny, każdy statek handlowy jest czymś co rodzi się żyje i umiera — czasem naturalną, czasem nienaturalną śmiercią. Pasażerski statek "Nadzieja" na świat wydała twarde ręce robotników Glasgow. Myśli konstruktorów, zmusda, codzienna praca majstrów i czeladników — ich troski, radości, bóle i zmartwienia zakłate zostały w wysmukłej linii kadłuba, pięknym rysunku wysokiego dziobu i przysadzistej, choć nie za niskiej rufie.

Pomost, duży obszerny pomost, górował ponad pokładem. Stąd to iść miały wszelkie rozkazy, tu był mózg okrętu. Serce, to przysłowiowe serce, lśniące było i tak jak w każdym organizmie twarde a skomplikowane. Maszyny statku z najlepszej zrodzone stali dumą napawały mechaników. Luksusowe rozwiązania wewnątrz stanowiło chlubę kompanii okrętowej, do której po ostatecznych próbach statek ze stoczni został przekazany.

Na tydzień czy dwa przed zawarciem pokoju, po zwycięskiej pierwszej wojnie światowej, przedstawiciel towarzystwa podpisał stoczni ostatni dokument, a z momentem wręczenia czeku opiewającego na cyfrę siedmiolicebnową, statek uznany został za zdolny do służby. To tak zupełnie jak w życiu, gdy z momentem zakończenia nauk, młody człowiek otrzymawszy ten czy inny patent, rozpoczyna spłacanie wielkiego długu, zaciągniętego przez okres młodzieńczy u swych rodziców. Przyszłość, cała w barwnej i obiecującej perspektywie rozciągająca się przyszłość, leży przed nim otworem. Już od wartości danej jednostki tylko i wyłącznie zależeć będzie, czy z zadania nalożonego nań zdoła się wywiązać.

"Nadzieja" zdawała się rokować jak najlepsze widoki. Pierwszy jej rejs ustalony został na parę dni po podpisaniu pokoju, New York był portem przeznaczenia. W barach statku strugami płynął szampan, w licznych salonach rozbrzmiewały dźwięki jazzów. Śmiech, i beztroski nastrój królowały. Przez kilka lat "Nadzieja" chodziła z Southampton do Stanów Zjednoczonych, ale zmieniły się trochę czasy, ludzie i potrzeby.

Wreszcie przyszedł dzień, w którym kompania okrętowa uznała jej szybkość za niewystarczającą. Trasa rejsów uległa zmianie. Dziób "Nadziei" pruł gładką jak lustro tafłę Morza Śródziemnego, pokłady suszyło słońce i wiatr wiejący z ponad pustyni, kabiny zamieszkiwały, prócz wiecznie sponych Europejczyków — bogaci Hindusi, nie brakło przedstawicieli rasy żółtej... Singapore był punktem docelowym.

Przyszedł okres światowego kryzysu. Wolne numery kabin, a zwłaszcza droższych klas, zdawały się go potwierdzać. Ale i to minęło. Znow pokłady zapelnily rzesze turystów, znow wszystko zdawało się iść starym torem. Czegoś jednak brakowało. Ogólna atmosfera uległa zmianie. Rozmowy prowadzone we wszystkich salonach, barach czy kabinach przeladowane były polityką. Beztroski uśmiech coraz częściej zniknął z twarzy...

Aż wreszcie kiedyś, a było to zdaje się po gruntownym remoncie "Nadziei", gdzieś w pierwsze gorące dni września, gdy powtarzane za komunikatami radiowymi słowo wojna zelektryzowało wszystkich, Kompania okrętowa robiła co tylko była w stanie, by jakoś podtrzymać utracony nastrój, lecz wszelkie próby okazały się bezskuteczne. Słowo wojna padało z ust pasażerów w dziesiątkach niemal języków. Po raz pierwszy po zapadnięciu zmroku nie zapalono lamp oświetlających pokłady, po raz pierwszy w przeprowadzonym ćwiczebnym alarmie opuszczenia statku wzięli udział wszyscy pasażerowie.

Coś się dzieje — miarowo i w takt powtarzały spod dolnych pokładów maszyny. Wojna? "Na-

dzieja" nie rozumie tego słowa. Okres jej pamięci nie sięga tak daleko.

Rejs odbył się bez przygód. W drodze powrotnej rozkazy skierowały statek do Gibraltaru. W obszernej zatoce z widokiem na potężną, granitową skałę, stało zakotwiczonych kilka dużych statków pasażerskich, parę pomniejszych transportowców i dużo różnych typów okrętów wojennych. Nazajutrz — jeszcze przed wschodem słońca — podniesienie kotwicy. Gdy wstał "Nadzieja" płynęła dziwnie jakoś wolno na czele jednej z kolumn statków znanych jej z Gibraltaru, po lewej burcie o milę może od niej oddalonego kontrtorpedowca o niskich burtach i długiej, wyciągniętej sylwetce kadłuba. Konwój — powtarzały głosy na pokładzie...

Po powrocie do Southampton "Nadzieję" wprowadzono do suchego doku. Przyszli robotnicy, by nieskalaną biel jej burt pokryć szaro-stalową, ochronną barwą. Na pokłady wstawiono kilka dział, zmieniono parę wnętrzą magazynów, przystosowując je do pomieszczenia pocisków i prochu. Część kabin została zniesiona, w miejsce wygodnych koj wkręcono haki dla zawieszania hamaków. Przeszło połowa

starej załogi opuściła statek pozostała reszta ubrała inne mundury. Na pokładzie odbywały się ćwiczenia i choć zaledwie dzień został do wyjścia z portu, nikt nie myślał, ani nie mówił o pasażerach.

Wreszcie odkotwiczenie. Dowódca, jakiś inny dowódca zebrał załogę. — "Od dziś jesteście rzeczywistymi i czynnymi członkami Marynarki Królewskiej — pamiętajcie o tym" — powiedział. — "Chciałbym, aby ten Uzbrojony Krążownik Pomocniczy, o nazwie symbolizującej myśli nasze, dał nam to, czego pragniemy."

Jego Królewskiej Mości Okręt "Nadzieja" — zrozumiała.

Znow był konwój. Tym razem sylwetka "Nadziei" w szarej bojowej szacie, widniała na jego czele. Na maszcie raz po raz podnoszono flagowe sygnały. Pod równikiem konwój rozdzielił się. "Nadzieja" poszła w kierunku na Południową Amerykę, by stamtąd przez cieśninę Magellana wyjść na Ocean Spokojny.

Tu zaczął się dla niej nowy okres. Okres śmiertelnie nudnej służby patrolowej wzdłuż brzegów Peru i Chile. W portach tych dwóch republik znajdowała się pewna ilość niemieckich statków handlowych zaskoczonych wybuchem wojny. Zadanie "Nadziei" polegało na pilnowaniu, by tam już

do końca wojny pozostały, w wypadku zaś próby wyjścia — zatopienie, względnie abordażowanie z chwilą, gdy którykolwiek z nich przekroczy granicę wód terytorialnych. Praca była ciężka. Raz na dwa miesiące na dwadzieścia cztery godziny wejść można było do portu i to po to tylko, by załadować prowiant oraz pobrać węgiel i ropę.

Pogoda w tych stronach globu ziemskiego nie ma nic wspólnego z sielanką. Wiatry i fala, deszcze i sztormy — to warunki atmosferyczne, jakim przeciwstawiać się musiała "Nadzieja." W czasie rzadko pogodnych nocy w pustce i samotności towarzyszyły światła dalekich miast. We dnie widywali czasem co wyższe szczyty w łańcuchu niebosiężnych gór. Salony i bary wymarły. Zwykły gwar i zabawa, miejsca ustąpić musiały twardeму obowiązki. Załoga hartowała się i tęskniła. Tęskniła i hartowała. Miesiące mijaly — drugi rok wojny widniał na horyzoncie.

Aż wreszcie inny jakiś uzbrojony krążownik pomocniczy przypłynął z dalekiej krainy Albionu, by zmienić "Nadzieję." Schowano dobrze zniszczone mapy zachodnich wybrzeży Ameryki Południowej, wyciągnięto znow mapy Atlantyku. Jeden po drugim z załogi zaczynał golić zapuszczone brody, lecz to okazało się przed-

wczesne i niepotrzebne. Konwoje, i to bez wchodzenia do portów na Wyspach Brytyjskich, stały się dalszym rozdziałem w okrętowym dzienniku zdarzeń. Stronice jego nie były czyste. Raz o mało nie natknęli się na niemieckiego raidera — "Gneisenau" jak się okazało, rzucali bomby głębinowe na nieprzyjacielskie okręty podwodne, a kiedyś przeżyli ciężki atak z powietrza, tracąc dwa statki z konwoju. Okręt wyglądał co raz bardziej zniszczony. Co raz częściej meldowano drobne uszkodzenia tak w mechanizmach głównych, jak i pomocniczych.

Przyszła wiosna 1941 roku. Do Wielkanocy kilka zaledwie dni. "Nadzieja" otrzymuje rozkaz zostawienia konwoju sto mil od brzegów Irlandii a potem płynięcia na remont. Spełnienie marzeń. Sny stają się rzeczywistością. Humory dopisują. Załoga części i prasuje wyjściowe ubrania. Nawigator bez przerwy oblicza przebyte mile. Wieczorem w Wielką Sobotę przychodzi zmiana. Dowódca podaje nowy kurs. Ustala się kolejka urlopów. Przygotowuje się listy remontu.

Wstał piękny poranek Wielkanocnej Niedzieli. W powietrzu prawie cisza. Nieskalany błękit nieba plamą chmury, niby bukiet weselny chwiejące się ponad północną częścią oceanu. Maszyny pracują w przyspieszonym tempie. Okręt raz po raz robi zwrot. Bezpieczeństwo nakazuje zygakowanie. Sygnalista stojący na prawym skrzydle wydał zduszony okrzyk: torpeda. Na pomoście robi się poruszenie.

Kadłubem "Nadziei" wstrząsnął bolesny wybuch. Wysoka fontanna wody z czarnym szczytem dymu i ognistą podstawą wytrysnęła spod ranionej części. Okręt przechylił się. Serce na chwilę stanęło. Białe kłęby pary walące przez zawory bezpieczeństwa, spowijają pokłady mgłą. Mózg okrętu pracuje... Rozkazy dowódcy wciąż jeszcze są przekazywane. Meldunki bliżej określają spowodowane zniszczenia. Torpeda trafiła w dziobową część kadłuba tak nieszcześliwie, że w samą prawie groźną wodoszczelną. Część pomieszczeń załogi i magazynów ze sprzętem pokładowym obrócona została w perzynę. Woda zalała dwa przedziały i wolno przesączała się zaczyna do trzeciego.

Zdołano uruchomić maszyny. Część marynarzy zajęta jest uszczelnianiem grodzi dzielącej drugi przedział od trzeciego. Marynarze niby sanitariusze starają się przyjąć z pomocą rannemu. Reszta załogi na wachcie. Szybkość okrętu spada do paru zaledwie węzłów. Manewrowanie w tych warunkach staje się utrudnione tym więcej, że dziób, jest zatopiony, kadłub powyginany wybuchem i cały okręt wolno, lecz stale nabiera prawoburtowego przechyłu. Serce choć pracuje, nie jest zupełnie zdrowe. Przewody parowe — niby arterie — nie są szczelne. Ciśnienie w kotłach pomimo intensywnego palenia nie daje się podnieść. Radiostacja okrętowa wysłała sygnał o wypadku. Było tylko przetrwać — pomoc idzie.

"Nadzieja" wie o tym. Nie poddaje się. Przeciwnie prze napróżd całym wysiłkiem uszkodzonego i zbolętego kadłuba. Minuty mijają. Okręt ciężko dyszy. Przy działach są pełne obsady gotowe otworzyć ogień w chwili wynurzenia się napastnika. Dzieśiątki ocz szukają peryskopu...

Torpeda — jeszcze jeden okrzyk. Tak. Druga torpeda. "Nadzieja" czuje to. Wybuch kotłów jest ostatnim jej jękiem. Okręt zaczyna szybko tonąć. Agonia. Spuszczono łódzie. Część załogi znajduje w nich ratunek.

Martwy kadłub okrętu opiera się wciągającej go wodzie. Ale mimo to co raz to mniej wystaje go na powierzchnię. Teraz jakiś wybuch, krwotok wewnętrzny. Wrak pod jego wpływem drgnął po raz ostatni w śmiertelnym skurczu. Koniec. Tylko wir wody, gęsto wyskakujące bańki powietrza, belki jakieś, parę kół ratunkowych i pasów znaczą przez chwilę miejsce, gdzie przed paru jeszcze minutami stała "Nadzieja." Jego Królewskiej Mości Uzbrojony Krążownik Pomocniczy "Nadzieja."



## Eryk Sopoćko

Papier jest cierpliwy a pisanie nie jest rzeczą trudną. Jednak już w pierwszym okresie twórczości talenty wybijają się i wstępny bojem zyskują poczynność. Takim właśnie wstępny bojem, zdobywał s.p. Eryk Sopoćko — podporucznik Polskiej Marynarki Wojennej — laury pisarza morskigo.

Odszedł zbyt wcześnie, by dać rozbiysnąć gwieździe talentu. Jak Eugeniusz Małaczewski — poeta-żołnierz z tamtej wojny — nie zdążył ukazać wszystkich możliwości, objawiających się w miarę krzepnięcia i doskonalenia się daru pisarskiego. Torpeda niemieckiego okrętu podwodnego przecięła nić młodego życia przedwcześnie.

Sopoćko — urodzony w Kijowie — był wychowankiem korpusu kadetów w Rawiczu. Do Anglii przybył jako podchorąży Marynarki Wojennej z pływania szkolnego na "Iskrze." Trafił na "Orla" i był na tym słynnym okręcie podwodnym w czasie storpedowania "Rio de Janeiro." Zeszedł zeń w końcu kwietnia 1940, by przejść jako stazysta na okręty brytyjskie. Na "Rodney'u" brał udział w zatopieniu "Bismarcka."

Jakiś czas pełnił funkcje na lądzie i z owego okresu pochodzą jego dzieła: "Orzel's Patrol," "Gentlemen, the Bismarck has been sunk," sztuka teatralna "3rd of May." Pisał oczywiście nie tylko na lądzie. Świadczy o tym wiele felietonów i reportaży pisanych pod bezpośrednim wrażeniem akcji. Jeden z ostatnich: "Ironia losu" — historia 46 podwodników niemieckich wyratowanych przez O.R.P. "Orkan" — jest pełen okolicznościowego tragizmu.

Niektóre z felietonów drukowane były już po śmierci autora. Ze wszystkich przebijają ta sama prostota i ta sama głęboka uczucio-

wość. Słowa są zwykle, nienapuszone, zdania krótkie, jak bojowe rozkazy. Ale całość robi głębokie, nieraz wstrząsające wrażenie.

Jego książki ogłoszone w języku angielskim powinny czym prędzej doczekać się następnych wydań. To już nie "interes" i nie prywatna sprawa. Chodzi o polski dorobek pisarski, o historię naszych walk na morzu, o to, co te walki i ten tragicznie zerwany dorobek może zaważyć na opinii świata. Nie wolno tłumaczyć się, że wydawca angielski chce to wydać po wojnie, że brak papieru, że okoliczności są niesprzyjające...

Podporucznik marynarki Sopoćko śpi snem wiecznym w głębinach Atlantyku. Ale winien w swych dziełach żyć dla Polski długie, długie lata. Może jej służyć, jako pisarz, jeśli przestał służyć, jako żołnierz.

JULIAN GINSBERT

Jako członek jury konkursu "Wiadomości Polskich" na pamiętnik żołnierski miałem możliwość czytać pierwszą próbę Sopoćki, opis patrolu "Orla" — w rękopisie. Był to rękopis, jak wiele rękopisów konkursowych. Przede wszystkim — olbrzymi, wielomowny. I trzeba to powiedzieć: zniechęcający od pierwszych stron. Zdawało się, beznadziejny. Autor próbował poruszać na nich niby-ludzi, sztywnych, jak z drzewa albo wiotkich, jak z gutaperki, potykających się o własne głowy i ręce. Próbował oddać to, co mówił, próbował nas przekonać, że wokół nich jest powietrze i światło. Ale zamiast tego osiągał efekt martwego kłapania drewnianych szczęk, groteskowego psykania, które wydają dziecinne zabawki. Nie sposób było uwierzyć, że przestrzeń o której mówi — port, okręt — gdzieś istnieje naprawdę.

Gdyby poprzestać na tych kilku czy kilkunastu pierwszych stronach, należało by rękopis zdyskwalifikować bezapelacyjnie. Ale na dalszych kilkudziesięciu stronach dokonywało się coś, co trochę graniczyło z cudem, coś, czego się dotyka, co się ogląda żywymi oczami niezmiernie rzadko — rodził się pisarz. Można powiedzieć, że urodził się pod naciskiem wstrząsającego przeżycia, ludzkiego udrczenia niebezpieczeństwem, ludzkiego strachu przed śmiercią, ludzkiego i męskiego przewycięzenia strachu i udreki.

Opis tropienia i bombardowania "Orla" przez kontrtorpedowce niemieckie należy do rzędu najbardziej autentycznych i trwałych świadectw, jakie o tej wojnie w mowie polskiej zostawiono. Wszystko w tym świadectwie: ruch przedmiotów, wahanie się światła, szszarzałe twarze ludzi, dygot serca, zużywanie się powietrza, wybuchy bomb głębinowych, puchnięcie czasu, nabrzmiewanie minut w godzinny, godzin w doby — wszystko jest beżwzględnie i ostatecznie prawdziwe.

Wiele miesięcy po tej lekturze poznałem Sopoćkę osobiście na jednej z konferencji prasowych u Ministra Obrony Narodowej. Czytał specjalnie napisaną rzecz o "Orle" — żarliwą, patetyczną, trochę naiwną. Ale bardziej od tego, co czytał był uderzający on sam. Palił się jakimś jasnym plonieniem, promieniał siłą wiary, przekonania, solidarności z tym, co mówił. Myślałem wtedy, że jest w nim materiał na pisarza, na epikę morza i marynarskiego trudu. Gorzko jest mi dziś pomyśleć, że ta możliwość została stargana, że Sopoćko musiał umrzeć i umrzeć tak wcześnie, aby zaświadczyć, iż to, co pisał było prawdziwe.

TYMON TERLECKI

ERYK SOPOĆKO

Jedna z ostatnich prac śp. Sopoćki, który zginął na O.R.P. "Orkan." Nazwy w niej użyte są oczywiście zmyślone.

## III.\*

## LOTNISTKO I KOMARY

Wzywają mnie do Kwatery Głównej Lotnictwa Lewantu. Jutro mam wyjechać na lotnisko, które przeznaczono polskiemu dyonowi. Odbieram wskazówki i skoro świt wyjeżdżam do doliny Esraelonu, poprzez silny maszyn górski Nablus. Ta górzysta i nieurodzajna część Palestyny jest zamieszkała przez najbardziej niespokojne plemię arabskie. Zamieszkała — jest w tym trochę przesady, bo wspinała droga górską o rozlicznych serpentynach bardzo rzadko przechodzi przez osiedla ludzkie. Dopiero z samolotu widzi się, że na szczytach gór i ich zboczach gnieźdzą się osiedla arabskie.

Dojeżdżam do Jenin'a, małego miasteczka arabskiego u wejścia do doliny, o której mowa. Obok niego znajduje się obóz z gimnazjum i liceum dla dziewcząt polskich. Przy wyjeździe z miasteczka tablice przydrożne ostrzegają, że dolina jest malaryczna i że w promieniu 10 mil. nie wolno zakładać żadnych obozów. Dolina to urodzajna i pięknie położona. Od zachodu zamknięta górami Karmel, słynnymi z winnic, od północy górami Nazaret i Tabor, od wschodu Jordanem i jeziorem Tyberiaczkiem.

Po kilku milach dojeżdżam do lotniska. Strzegą go kolorowi żołnierze, ale jest puste. Oczekuje nowych przybyszów. Piękne wybiegi startowe, baraki mieszkalne i wszelkie niezbędne dla służby lotniczej i życia lotników urządzenia. Nie spodziewałem się, że dostaniemy tak piękne lotnisko. Czekam na oficera angielskiego, który ma przylecieć z Haify, aby omówić bliżej szczegóły zakwaterowania. Obchodząc baraki mieszkalne przypadkowo natknąłem się na gentelmana w mundurze, który siedząc w cieniu zajął się spokojem sandwicz z rozwiniętego co dopiero papieru. Nie zmieniając pozycji ani nie przerywając jedzenia, poprosił mnie, abym usiadł obok.

—Bo widzi pan, czekam tu na pana już od 10-tej rano. Jestem oficerem od zwalczania malarii. Chciałbym zatem uprzedzić pana o niektórych rzeczach, przed przybyciem polskiego dyonu. A więc — ciągnął dalej, zjadając smacznie pomidora wkrajanego pomiędzy kromki chleba — malaria tu jest wysoka. A właśnie zbliża się jej największe nasilenie. Widzi pan tę wieś arabską za tym wzniesieniem?

Przysłoniłem oczy ręką od słońca i szukałem tej wsi. To nie jest tak daleko stąd, kilka mil zaledwie, tylko nam te wzgórza nieco przeszkadzają.

—Widzi pan, to dobrze. — Skończył włożony co dopiero do ust kęs chleba i z tajemniczą miną oświadczył: — Panie, to jest największe siedlisko malarii.

—Zapewniam pana nie będziem się z tą wsią komunikowali.

Roześmiał się głośno i patrząc złośliwie zza wielkich okularów wyrecytował ściszym głosem:

—Czy pan myśli, że malaria się udziela przez stosunek płciowy? Czy pan kiedyś słyszał o komarach malarycznych? A czy pan nie wie, że one nie tylko umięją, ale i lubią latać, może nawet lepiej od was. Widział pan kiedy komara? On w locie jest prawie niewidoczny. — Gdzieś z przepastnych kieszeni swego munduru tropikalnego wyjął jedną po drugiej różne flaszeczki i probówki. — O, widzi pan, to komar malaryczny zwyciężył. To samiec, a to samica. Ten okaz pochodzi z bagnistych okolic Nilu, a ten z Persji. Ale czekaj pan, pokażę panu unikat. — Wyciągnął nową probówkę: po jej wewnętrznych ściankach leżało jakieś komarzysko. — Dziś go złapałem, z tej oto wsi. Ładny okaz?

Musiąłem mieć przy tym głupią minę, bo jako żywo z owadów dokuczliwych znalazłem dotychczas muchy i pchły. Inaczej jednak sądził, ten, zapewne profesor-owadoznawca, kiedy mi zaproponował ujęcie, abym go odwieździł w domu i oglądał daleko ciekawsze okazy. Notowałem z grzeczności jego adres, słuchając dalszego wykładu. Żołnierze nie mogą chodzić nago, ani nawet w szortach, specjalnie pod wieczór. Spać tylko pod siatkami przeciwmoskitowymi. Maści przeciwmoskitowych nie żałować na odsłonięte części ciała. "One" tego bardzo nie lubią. Najlepiej było by nosić specjalne maski z siatki na głowę i twarz oraz rękawice.

Dębiałem. Więc jak to, gorąco, że ledwo wytrzymać można, wszystko mokre od potu, a tu pan profesor zaleca, aby się wysmarować paskudną pastą przeciwmoskitową, włożyć ubranie z długimi nogawkami i rękawami, na głowę worek z siatki i rękawice na ręce. Tak piloci mają latać i tak mechanicy pracować przy maszynach, szofery przy wozach, a parzygnaty przy kuchni. Nie wytrzymałem, zacząłem wolno i dobitnie:

—Jestem panu bardzo wdzięczny za interesujący wykład i zbawienne rady, ale kiedy wyjeżdżam w tę okolicę czytałem olbrzymie tablice ustawione przy drodze, głoszące o niebezpieczeństwie malarii, jaka tu panuje. Czy by zatem nie było rożumniej umieścić nasz dywizjon gdzieś indziej, w okolicy mniej niebezpiecznej?

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

—To małe nieporozumienie, czy pan mnie uważa za oficera kwaternikowego Lewantu? Jeśli tak, to "sorry," nie ten adres. Zegnam pana. — Na odchodnym odwrócił się jeszcze i wykrztusił: — W każdym razie proszę pamiętać o środkach tu zaleconych, bo na pana ciąży niejaka odpowiedzialność.

Szlak mnie trafił. Nie wiedziałem czy łapać za rewolwer, czy wyrwać mu tę probówkę z żywym komarem i rozbić na nosie. Niech go tnie i da sposobność do praktycznego poznania malarii.

Oficer, z którym się umówiłem przyleciał. Jadę więc na lotnisko. Wyluszczam mu wszystkie moje obawy.

—Niech pan nie przejmuję się tym, co panu powiedział. Malaria istnieje na całym *Middle East*. Tylko w jednych miejscowościach silniejsza, w innych słabsza. Tu nie tak dawno stał amerykański dywizjon lotniczy i poza kilkoma przypadkami malarii nic tak groźnego nie było. Oczywiście trzeba zachować pewną ostrożność. Zresztą jeśli szef sanitarny uzna tę miejscowość za niebezpieczną pod względem zdrowotnym, to was przeniosą gdzie indziej.

## W SZTABIE OPERACYJNYM

Omówiłem z nim sprawy służbowe, pożegnałem się i bacznie pilnie, aby mnie jakieś złośliwe stworzenie nie ukąsiło, pojechałem do mego stałego miejsca zakwaterowania, t.j. Sztabu Korpusu. Dowództwo Korpusu rozlokowane w namiotach i barakach, jak tu zresztą wszystkie wojska, znajdowało się w południowej części Palestyny w pobliżu morza. Miejscowość ta nosiła nazwę Kilo 89. Nie ma jej co szukać na mapie, albowiem nazwa jest tylko liczbą kilometrów od

jakieś tam miejscowości głównej, według układu tego instytutu geograficznego, który ją wydał.

Przedstawiłem gen. Andersowi sprawę lotniska, prosząc o interwencję u władz angielskich. Raz, że jest malaryczne, a po wtóre, że daleko położone od Sztabu Korpusu. Zgodził się całkowicie i polecił przedstawić odpowiedni wniosek. Wniosek ten poskutkowało, a kiedy decyzja zapadnie, rozpracowuje ją w postaci rozkazów i zarządzeń. Zadaniem drugiego to zaopatrzenie i transport dla wojsk walczących, uzgodnione z zarządzeniami pierwszego w czasie i w przestrzeni. Nie będzie żadnej przesady, gdy określimy sztab mianem mózgu walczących wojsk. To nie wykład dla słuchaczy Wyższej Szkoły Wojennej, dlatego nie będziemy się bawili w szczegóły. Pracę obu tych sztabów jednoczy Szef Sztabu, prawa ręka dowódcy Korpusu. Obecnie sprawuje ten urząd oficer o dużej przeszłości bojowej i sztabowej. Zna swój fach, jak mało kto. A ponieważ ma dobrze w głowie i nie pozuje na Napoleona, więc są wszystkie dane, że z pożytkiem potrafi się wywiązać z swych obowiązków. Dobry szef sztabu Korpusu potrafi być i dobrym szefem sztabu armii, czy frontu. Dziś operujemy korpusami, a jutro może operować będziemy armiami.

Moje miejsce jest przy sztabie operacyjnym. Jemu też najwięcej uwagi poświęcam. W sztabie tym mamy jak gdyby dwie klasy, bo szkoła jest ta sama. Wszyscy ukończyli Wyższą Szkołę Wojenną w Polsce, a tu uzupełnili swe wiadomości na sztabowych kursach angielskich. A więc klasy: starsza i młodsza. Starszą reprezentują starsi, nie starzy — zastrzegam się. Ot tak po czterdziści parę lat, a więc w wieku dojrzałym, męskim. Mają oni duże doświadczenie w pracy sztabowej z czasów pokojowych i naszej wojny. Młodzież przeważnie o doświadczeniu liniowym, uzupełnionym studiami.

Klasy te różnią się od siebie nie w zasadniczych poglądach, ale w takich lub innych rozwiązaniach. W rozlicznych zażartych dyskusjach z racji tego czy innego ćwiczenia, czy też istotnego wojennego zdarzenia, wyładowują się temperamenty sztabowe. Starsi, jak przystało na wiek męski są ostrożni w ocenie. Kalkulują na zimno

z olówkiem w rękę, biorąc pod uwagę wszystkie za i przeciw. Liczą się zawsze z rzeczywistością pola walki i możliwościami wykonania. Młodych ponosi temperament. Imponują im śmiało i ryzykowne nieraz uderzenia niemieckie, mniej natomiast rachunkowe i ściśle przygotowanie angielskie. Rywalizacja prawdziwie szlachetna, pozbawiona fałszywych ambicji i niezdrowych rozłamów na starszych i młodszych, jakie święty swego czasu odrażające triumfy we Francji i Anglii.

Pewno, że tam nie wszyscy są aniołami, nie wszyscy może są bez zarzutu, ale odnosi się to do zdecydowanej mniejszości bez większego znaczenia i wpływu. Trzon jest zdrowy, a to najważniejsze. Każdy ma możliwości i warunki wybić się. Każdy może dać ze siebie wszystko na co go stać. Konkuruje mózg, rachunek, logika, jasność wnioskowań i zdolność przewidywania. Tam nie ma konkurencji dywizjonu lotniczego czy szwadronu pancernego na temat, kto lepiej prowadzi samolot, czy samochód pancerne. W truscie mózgow, jakim jest sztab wielkiej formacji wojskowej, może i powinien konkurować tylko mózg, a nie urodzenie, czy przyjemny wyraz twarzy, lub co gorsze jeszcze, zdolność do posługiwania się "waseliną" w karierze życiowej.

Szkoda, że dziś, kiedy do walki bojowej idzie nasz Korpus, możemy dać pole do popisu tylko jednemu sztabowi. Jeżeli nie może być inaczej, zapelnijmy go sztabami. Niech słuchacze Wyższej Szkoły Wojennej mają możliwość przejść tam praktykę pracy sztabowej, zamiast czerpać ją tylko z teorii. To samo dotyczy i lotnictwa. W ramach Korpusu jest ono małe. Na to nie ma rady, bo takie są ramy organizacyjne. Korpus ten będzie koordynował z współpracą lotnictwa, a w tej dziedzinie nie mamy nowoczesnego doświadczenia bojowego. Niech zatem droga stażów w Korpusie i w Armii, do której będzie on należał, zdobywają doświadczenia z zakresu lotnictwa taktycznego wszyscy ci lotnicy, którzy w tym rodzaju lotnictwa będą pracować w Wolnej Polsce. Obyśmy tego nie przegapili i nie spóźnili się bo taka okazja może się już drugi raz nie powtórzyć.

## PIERWSZE ĆWICZENIA

Pierwsze wielkie ćwiczenie, w którym biorę udział odbywa się wewnątrz Korpusu bez udziału obcych jednostek. Jest ono przygotowaniem wstępnym do wielkich ćwiczeń, jakie się mają odbyć niedługo z armią angielską. Ćwiczenia z nieodzowną stroną czerwoną

i niebieską, są sprawdzianem pracy sztabów wielkich jednostek i wytrzymałości oraz sprawności wojsk. Sztab Korpusu pełni tu rolę kierownika ćwiczeń i rozjemcy.

Odbyły się one późnym latem w górskiej, nieurodzajnej i spalonej słońcem części Palestyny. Żołnierze dawali ze siebie wszystko. O sprawności przekonałem się sam, lecąc na "Hurricane" celem skontrolowania kamuflażu oddziałów na postojach i w marszu. Piękna droga asfaltowa, prowadząca do pozycji wyjściowej do natarcia świeciła pustką. To nie-możliwe, myślałem, oni muszą tu być. Przyglądając się uważnie sąsiednim jarom i wąwozom podziwiałem przez jak nieprawdopodobny teren szły kolony nawet z ciężkim sprzętem wojennym. Na postojach rozrzucono samochody w terenie, wykorzystując każdą jego faldę i załom na ukrycie. Rozpoznanie rozsypanej w terenie piechoty było prawie niepodobiestwem.

Widać było solidną robotę, jeśli chodzi o nowoczesne wyszkolenie żołnierzy i kierowców. To ostatnie należało by specjalnie podkreślić. Dziś Korpus ma zapewne więcej mechanicznych środków transportowych, aniżeli ich posiadała Armia Polska w 1939 roku. Kiedy armia wschodnia wyszła z Rosji, wysunęła się na pierwsze miejsce sprawa szoferów. Był to problem liczony w tysiącach. Skąd ich wziąć? Zaczęto szkolić intensywnie. Ale nie zapominajmy, że armia nasza na Srodkowym Wschodzie składa się głównie z żołnierzy z wschodnich dzielnic Polski, a więc z rolników. Łatwo wyszkolić na szofera ślusarza, ale człowieka, który chodził za plugiem, nie jest tak łatwo.

Ćwiczenia, jak to zawsze bywa, obfitowały w ciekawe i wesołe epizody. Trzeba do nich niewątpliwie zaliczyć kawał "dwojkarski" czerwonej strony. Strona ta, zmuszona naciskiem przeciwnika do opuszczenia pewnego wysuniętego rejonu wzgórz, pozostawiła dla celów wywiadu dobrze ukrytą w rozpadlinie skalnej stację nadawczą z radiotelegrafistą. Wiadomości o nieprzyjacielu miał dostarczać oficer wywiadu przebrany za Arabkę. Wybrany do roli szpiega młody oficer dobrze się do tego nadał. Przystojny brunet, smukły, pod strojem arabskim niczym nie zdradzał swej płci. Arabka była bezczelna, zalotna, zaczęła oficerów i żołnierzy, posługując się łamanym językiem angielskim. Zadenemu z żołnierzy nie przyszło do głowy, że Arabka w tym kraju nie jest nigdy zaczepna, ani nie włada innym językiem poza arabskim.

Przypadek zrzucił, że Arabka dokonując swego niecnego procederu, nie zauważyła, iż z drugiej strony drogi zapchaney samochodami stoj arabski policjant, osłupiały na widok córki Mahometa. flirtuje z jakimś sierżantem. Na Allaha! Przecież ona sama ciągnie tego giaura do grzechu. Poskoczył więc szybko do Arabki i zaczął ją indagować w rodzimym języku. Tu się okazało, że Arabka poza kilkoma powiedzeniami w rodzaju "Salem Alejkum" po arabsku ani be, ani me. Przerazenie policjanta doszło do zenitu, gdy Arabka zaczęła mu urągać po angielsku i odmówiła towarzyszenia na posterunek. Zrozpaczony policjant zażądał pomocy żandarmerii polskiej. Ale tu znów w obronie uciśnionej piękności wystąpił pan sierżant, uwodzicielsko dotychczas kuszony.

Kiedy sprawa zaczęła nabierać drastycznych kolorów, sama Arabka rozwiązała sprawę. — Nie mogę — ryknęła najczystsza polszczyzną — bo pękne ze śmiechu. I podając z gracją rękę obwieszoną blaszkami oficerowi żandarmerii zaszczębiotała: — Jestem porucznik X, kaszecz mnie pan do najbliższego kasyna, bo zdechnę z głodu. a potem mogę iść do "mamra".

Nie wiem co powiedział pan sierżant, ale się domyślam, że lepiej nie powtarzać. Gorzej, bo osłupiały policjant dalej nie rozumiał i zapewne do dziś dnia pomstuje na zanik moralności kobiecej w świecie muzułmańskim.

To jest epizod wesoły, nieodłączny od życia żołnierskiego, ale nie znaczy to, aby w czymkolwiek obciążał istotną wartość prawdziwego i solidnego wysiłku żołnierskiego, jaki tam miałem przyjemność zaobserwować. Tego samego «zapewne zdania byli i surowi krytycy angielscy, kiedy po ćwiczeniach gratulowali Andersowi dobrze zorganizowanych i przeprowadzonych ćwiczeń.

## A P E W U

## Poszukiwani

## WYKAZ Nr. 36

## CIĄG DALSZY

Oroby te jak również znajomi, posiadający bliższe dane a zwłaszcza adresy zainteresowanych, proszeni są o przesłanie ich do Wydziału Rodzin Wojskowych Ministerstwa Obrony Narodowej /Polish Military Families Office/, 5, West Halkin Street, London, S.W.1.

99. Moniuszko Tadeusz szer. — poszukiwany przez rodziców Adama i Marianno oraz brata Władysława zam. w Z.S.R.R. /R/91/.

100. Mysiarz Stanisław szer. — poszukiwany przez żonę Władysławę i córkę Danutę zam. w Z.S.R.R. /R/16/.

101. Niechwiadowski Borysa ur. 1.1.1924 r. — poszukuje ojciec Bazyli, Paiforce 214 Polish Forces M.E. /6645/.

102. Nosecki Jerzy — poszukuje Stanisław Nosecki /Anglia/ /R/16/.

103. Nieduszynskiego Kazimierza ur. 1898 r. kpt. D.O.K. Lwów — poszukuje żona Stefania, Alger /5555/.

104. Nowerskiego Tadeusza por. pil. — poszukuje Stanisław Mieszkowski /4555/.

105. Ochman Józef oficer rez. — poszukiwany przez żonę Irene i syna Józefa zam. w Z.S.R.R. /3800/76/.

106. Olearski Stefan plut. — poszukiwany przez żonę Janinę zam. w Z.S.R.R. /3800/70/.

107. Ostrowski Aleksander szer. poszukiwany przez żonę Natalię, matkę Urzulo i dzieci Zofia i Antoni zam. w Z.S.R.R. /3800/68/.

108. Piotrowska Stanisława — poszukuje Mikowski Karol Anglia /5555/.

109. Podniesiński Aleksander i Stanisław poszukiwany przez Jerzego Podniesińskiego /Anglia/ /5555/.

110. Przydatek Helene i Adama oraz dzieci Oleńkę, Ilankę i Bolesława — poszukuje Gromnicki Zygmunt, Anglia /5555/.

111. Pawlik Antoni, 52 lata, majora — poszukuje Leonia Popławska Alger /5555/.

112. Pajęcki Bronisław szer. — poszukuje żona Józefa i synowie — Eugeniusz, Antoni i Zygmunt zam. w Z.S.R.R. /3800/71/.

113. Paradowski Władysław — poszukiwany przez matkę Czesławę i siostrę Danutę zam. w Z.S.R.R. /R/20/.

114. Parafiniuk Marian szer. — poszukiwany przez żonę Stefanię i dzieci Tadeusza i Zygmunta, zam. w Z.S.R.R. /3800/76/.

115. Paryżak Michał kpr. — poszukiwany przez żonę Zofię, dzieci — Krystynę, Marię i Tadeusza oraz matkę Czerwatowicz Annę zam. Z.S.R.R. /3800/74/.

116. Pasicki Antoni szer. — poszukiwany przez żonę Marie i dzieci — Wincentego i Lesława zam. w Z.S.R.R. /3800/76/.

117. Powiak Stanisław plut. — poszukiwany przez żonę Leokadię i córkę Eugenię zam. w Z.S.R.R. /3800/77/.

118. Piątkiewicz Zbigniew i Zygmunt rtm. i oficer /syn i ojciec/ — poszuk. przez żonę i matkę Stanisławę i córkę i siostrę Marię zam. w Z.S.R.R. /R/123/.

119. Pinkus /bez imienia/ — poszukiwany przez ojca Majusa i rodzinę zam. w Z.S.R.R. /R/73/.

120. Piotrowski Adam ppor. — poszukiwany przez żonę Irene i syna Wiesława oraz matkę Helene zam. w Z.S.R.R. /3800/68/.

121. Podolak Mikołaj kpr. — poszukiwany przez żonę Katarzynę i dzieci Jana, Stanisława i Jadwigę zam. w Z.S.R.R. /3800/79/.

122. Podwoysocki /bez imienia/ st. sierż. — poszukiwany przez żonę Anielę i dzieci — Danutę i Alicję zam. w Z.S.R.R. /R/62/.

123. Pudółko Franciszek podoficer — poszukiwany przez ojca Franciszka, żonę Stanisławę i córkę Franciszkę zam. w Z.S.R.R. /3800/80/.



## SZYBKO WYMNIENIAJ BOOK TOKENS

Obecnie, gdy papier jest racjonowany i firmy wydawnicze cierpią na brak siły roboczej — książka, którą możesz dostać dziś, może być nieosiągalna jutro. Nie czekaj na nowe wydanie książki, gdyż może to trwać tygodnie i miesiące. Wymień swój bon książkowy — Book Tokens na inne książki. Jest ich jeszcze dużo w księgarniach.

BOOK TOKENS LIMITED

Nakładem "Składnicy Księgarskiej" ukazał się marnsz poświęcony 10 Grygadzie Kawalerii Pancernej pod tytułem: "CZARNA BRYGADA" Układ na fortepian Muzyka J. Stojek Harm.: H. Hausman Cena 1/6 Do nabycia w Składnicy Księgarskiej 8, Hope Street, Edinburgh.

## HAVE YOU ANY SKIN TROUBLE ?

## ST. JAMES' BALM ANTIVIRUS OINTMENT

## DESTROYS GERMS

AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT

Send for FREE SAMPLE

MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES LTD CARGREEN ROAD, LONDON, S.E. 25

# Bez blackoutu

Mówiło stare polskie przysłowie, że szkoda wyrządzone nam budzi naszą mądrość i czujność. Jakies nowe przysłowie powinno wypowiedzieć się raczej za mądrością, która uprzedza szkody.

Wiele cennego papieru wypisali publicyści polscy w Wielkiej Brytanii, nadaremnie wskazując od roku 1940 na wielką siłę bojową myśli polskiej i piór polskich, na konieczność usprawnienia i postawienia na najwyższym poziomie naszej propagandy cywilnej i wojskowej. Powtarzano i przypominano, że jest to broń pierwszorzędnej znaczenia w wojnie obecnej. Cóż to były za Szyfrowe prace przekonać organizację wojskową o potrzebie rozbudowania nowej broni, coż to był za wysiłek unowocześnić i odświeżyć zaśnieżone pojęcia niektórych, "fachowych" ludzi z propagandy cywilnej?

Lepiej dziś nie odkrywać kotarki blackoutowej z tych przygód. Nie czas na to. Nie czas wspominać sobie naiwność, graniczącą czasem z prowincjonalnym poziomem i grzechy biurokracji, nie wybiegającej myślą w przyszłość, ale trzeba wyraźnie wskazać błędy, gdyż chwila, którą obecnie przeżywamy, wymaga stanowczej i bezkompromisowej rozprawy ze wszystkimi, co tamowało lub tamuje możliwość podniesienia naszego aparatu propagandowego do wyżyn... konkurenta.

A konkurent jest starym fachowcem na tym polu, fachowcem przebiegłym; potrafi on na rynku brytyjskim wyrządzać nam niepowetowane szkody, potrafi na terenie Jugosławii katolickich Chorwatów rzucić w objęcia Tita i skierować przeciw prawosławnym Serbom, potrafi uruchomić maskaradowe "Radio Chrześcijańskie", potrafi prowokować i zaskakiwać. Co więcej odważa się na próby łamania duchowego szeregu żołnierskich Wojska Polskiego w Wielkiej Brytanii. Próby śmieszne i nieudane, ale próby, którym trzeba się natychmiast przeciwstawić.

Żeby konkurentowi dorównać, żeby móc podjąć i wytrzymać takie spotkanie dobrze zorganizowanej perfidii piór i myśli, musi się u nas

dokonać n a t y c h m i a s t g e n e r a l n e j, j e d n e j z w i e l u, a l e t y m r a z e m k o n i e c z n e j — r e o r g a n i z a c j i. Trzeba wciągnąć, choćby kosztem innych prac i zajęć, ludzi młodych lub starszych, ale wyczuwających potrzeby nowoczesnej broni propagandowej, tegich w myśleniu i piórze, pomysłowych, więcej — nawet przebiegłych i na wiatr naprawiających błędy straconych lat i miesięcy na tym terenie. Trzeba przestawić od razu aparat informacyjno-dokumentacyjny na nowoczesny aparat walki, bo rola słowa zaczyna się, bo bitwa mózgow i myśli ludzkiej trwać będzie aż do przyszej konferencji pokojowej i po niej. Tym razem warto zrewidować cały aparat propagandowy i wyjść w nowej formie na pole bitwy o polowę naszych ziem i całą przyszłość Polski. Warto zaryzykować kilka, choćby bolesnych, "zmian personalnych", warto z trudem uzyskać kilka "odkomenderowań" i "przeniesień", bo stawka jest nieproporcjonalnie wielka w stosunku do kłopotów zatroskanej biurokracji.

Można darować majorowi, kapelanowi Armii Amerykańskiej, który zapytał mnie niedawno w Birmingham: — "Czy macie na terenie Wielkiej Brytanii samodzielne lotnictwo polskie, czy też lotnicy wasi latają w "barwach" angielskich?", ale nie można darować tym, którzy powinni dostarczyć Armii Amerykańskiej potrzebnej informacji i szerzyć wiedzę o Polsce Walczącej w gronie Zjednoczonych Narodów. Można wybaczyć Brytyjczykowi, który z trudnością wymawiając nazwy: "Wilna" i "Lwów" zapytuje, co to za wioski graniczne, ale trudno wybaczyć tym, których obowiązkiem było stałe, wytrwałe informowanie szerokiej opinii brytyjskiej o wartości tych "wiosek" i tych ziem dla Polski.

Zaznaczyłem na początku, że nie czas na porachunki, ale trzeba sobie powiedzieć szczerze o błędach, by jeszcze dziś je naprawić. Musimy zdążyć do gruntownej napra-

wy aparatu propagandowego. Jakimi środkami dysponuje ten aparat cywilny i wojskowy w tej chwili?

Bardzo skromnymi. W piątym roku wojny idą kilka razy dziennie radiowe komunikaty pod czułą opieką B.B.C. Przesadą było by nazywać to "radiem." Radio wojskowe, o którego potrzebie pisało się i mówiło od r. 1940, nie istnieje. Film polski, po kilku wyczy-

nach krótkometrażowych, albo niedoświadczonych, albo nie "chwytających" tematycznie, nie wykazuje w tej chwili należytej działalności, "Chór Wojska Polskiego," który taką dobrą robotę wykonał na tym terenie, rozparcelowany służbowo, zwoluje od czasu do czasu swoich członków za pomocą komunikatów prasowych. Możliwość nagrywania płyt polskich na tym terenie we własnym zakresie są znikome, w tej chwili właściwie żadne. Prasa... w opalach, codzienna prasa polska sfuzjonowana, tygodniki ułatwiają się w tej atmosferze jeden po drugim. Krąży niepokojące pogłoski, że doskonały "Voice of Poland" ma przestać wychodzić, "Tygodnikowi Polakowi" z Ameryki cofnięto subsydlum rządowe.

Destawacje w dziedzinie radia, filmu, prasy, dokonane na tym terenie przez obojętność, brak wyrozumienia nowoczesnych potrzeb propagandy u wielu ludzi z t.zw. "czynników decydujących" mszczą się i biją nas po głowie w tej bardzo ważnej chwili, może najważniejszej. Wierzę jednak, że gdybyśmy się zabrali do naprawy istniejącego stanu rzeczy po polsku, gorąco, całym sercem, z właściwą nam Polakom "smykalką" i talentem, z mądrością, która przyniesie do nas zawsze po szkodzi, można by nie tylko aparat propagandowy naprawić, ale zagrać nim i wygrać. W tej chwili na polu bitwy propagandowej harcuje i grasuje, jak chce, kto inny. Nas tam nie ma.

Oddziaływanie na emigrację cywilną i na żołnierza nie jest w tej chwili aktualne. Żołnierza polskiego obecnie ani pocieszać, ani nastrojać nie trzeba; potrzebna mu jest tylko informacja szybka i rzetelna. Żołnierz polski w obliczu niebezpieczeństwa grożącego całoci Ojczyzny zawsze skupiał się wewnętrznie i zwierzał swoje szeregi. Tak jest i teraz. Żołnierz czując powagę chwili, zbliża się do kolego, staje bliżej dowódców, a obca,

wraskliwa propaganda pogłębia tylko jego upór i hartuje wolę. Będąc w ostatnich czasach często w obozach, nie słyszałem z ust żołnierzy słów rozpaczliwych, niewiary, powątpiewania czy rezygnacji.

Tym bardziej przykro stwierdzić, że niekiedy jednostki cywilne, podobno wysoko postawione w hierarchii urzędowej, przybywając z Londynu do Szkocji zbyt łatwo dają upust swoim nastrojom wewnętrzny, zbyt nieopatrznie wtajemniczają głośno "tubylców polskich" w motywy swojej rezygnacji /broń Boże nie ze stanowiska urzędowego — niestety/, wyrażają żal, ale równocześnie szybko godzą się z faktem... rzekomo dokonany.

To są rzeczy, które muszą w chwili obecnej zniknąć. Nie wolno nikomu, a tym bardziej wysokiemu urzędnikowi wyrażać rezygnacji, choćby miało to miejsce w rozmowach prywatnych. Można "dygnitarzowi" przebaczyć, że nie umie mówić po angielsku, ale nie można mu dorwać, że tak "umie" mówić po polsku. Są pewne rzeczy dokonane, czy niedokonane, z którymi żaden uczciwy Polak nigdy się nie pogodzi. Jeszcze gorzej, jeżeli taki gość londyński pochodzi z Warszawy, Krakowa, czy Poznania — jeszcze gorzej, bo świadczyło by to o zupełnej ztracie sumienia i rozsądku i o tym, że małoduszne wygodnictwo i sobokostwo grasują na terenie naszej małej emigracji.

Przyszła pora wywołać w myślach ducha Rejtana. Niechby wszedł pomiędzy tych łatwo rezygnujących, godzących się z "faktem", niechby wszedł, niechby nauczył ich słowa: NIGDY, niechby dał mocno ręką szablą po głowie i ocucił. A gdyby i tego było za mało, niechby się położył w drzwiach, które prowadzą na dworzec londyński King's Cross, skąd "kompromisowcy" małokalibrowi i nie reprezentujący nikogo z wyjątkiem swojej naiwności, mogą wyjechać do Szkocji i psuć godną użycia postawę żołnierza.

WIKTOR BUDZYŃSKI

## Wotum "Lwowskiej Fali"

Dnia 2-go kwietnia b.r. o godz. 11,30 Wojskowa Czołwka Teatralna "Lwowska Fala" złoży w Kościele Polskim przy Devonian Road białegalne Wotum na intencje powrotu do rodzinnego miasta. Wotum jest kopią oryginalnego herbu Lwowa, ofiarowanego okrętowi podwodnemu "Wilk" którego Lwów jest "ojcem chrzestnym." Rzeźbę wykonała bezinteresownie artystka rzeźbiarka Maria Kruszelnicka.



## Skrzynka pocztowa

JESZCZE W SPRAWIE STOSUNKU EMIGRACJI DO KRAJU  
Szanowny Panie Redaktorze!

Po przeczytaniu listu p. Karola Lewkowicza w nr. 10 "Polski Walczącej" /"Przeciw groźbie elitaryzmu" / nasunęło mi się parę uwag, których moim zdaniem nie należy pomijać przy zastanawianiu się nad wartością i zadaniami naszej emigracji. Notuję je nie w celu przeczenia tezę, stawianym przez p. Lewkowicza, gdyż nie znam środowiska, w którym on czynił swoje obserwacje.

Zaniepokoił mnie jednak ton listu, stwarzający u czytelnika niesłuszne chyba wrażenie, że większość społeczeństwa emigracyjnego, ufając w swe możliwości, sobie wyłącznie przypisuje monopol kierowania życiem powojennym naszego narodu. Śmieszne byłoby to uzurpatorstwo, gdyby kilkadziesiąt tysięcy ludzi, po stwierdzeniu, że wszystko co było wartościowe w Kraju zostało wyniszczone — już tu rozdzielało kierownicze stanowiska w Polsce powojennej.

Czy jednak groźba elitaryzmu jest aż tak powszechna?

Wydaje mi się ważne w omawianiu atmosfery panującej na emigracji, uwzględnienie przede wszystkim tych, którzy — jak ich autor listu nazywa — stoją "na peryferiach życia publicznego na emigracji." Stanowią oni bowiem bezsporną większość naszego społeczeństwa i jakkolwiek nie zabierają głosu w toczących się dyskusjach publicznych, mają bardzo często swój własny, odrębny na te sprawy pogląd. Zainteresowania wielu z tych ludzi bliskie są poruszonym w prasie zagadnieniom. Jeśli nie znamy ich wypowiedzi, to tylko dlatego, że ich zdaniem, toczą się dyskusje, poza szumną frazeologią i często zbyt teoretycznymi rozważaniami — nie nowego w ich życie nie wnoszą.

Pamiętam reakcję tych właśnie "outsiderów" życia publicznego, gdy im w jakimś przemówieniu powiedziano, iż "są na wagę złota, że ich znaczenie w Polsce będzie..." — nie warto wyliczać długiego szeregu wspólnych przymiotników.

Przemówienie było wystąpieniem niefortunnym, zaś krytyczne ustosunkowanie się słuchaczy było reakcją naturalną i zrozumiałą. Tak było to wśród żołnierzy naszego wojska. Nie sądzę, by lotnicy nasi, wykonując swe bojowe zadania nad Niemcami myśleli, iż czynią to na konto swej przyszłej kariery życiowej.

I nie jest tak wśród nas marynarzy. Każdy z nas myśli o powrocie. Z powrotem zaś kojarzy powrót do normalnego życia. Znam nauczycieli, którzy chcą wrócić do swej szkoły, inżynierów, marzycy o powrocie do fabryki. Nikt z nas jednak nie sądzi, iż ten powrót zawiązującą będą przypadkowi, czy — jak p. Lewkowicz pisze: "jedynie okoliczności, że

w chwili, gdy masy Narodu krwawili się w walce, oni mieli możliwość pogłębić swą wiedzę, utrzymać normalne funkcjonowanie swych płuc, żołądków, nerwów..."

Chciałbym również słów parę poświęcić tym z nas, którzy mają dziś możliwość kontynuowania studiów. Osobiście bez przerwy służę w szeregach naszych sił zbrojnych, cieszę się jednak na równi z dużą ilością kolegów, że możliwości nauki się wciąż rozszerzają i że jednak doceniać się zaczyna znaczenie przygotowania nowych kadr architektów, lekarzy i t.p. Pragniemy, by możliwie jak największa ilość młodych mogła kończyć studia. I wierzymy, że w swej pracy nie kierują się oni prywatą.

Sądzę, że ten odłam naszej emigracji nie jest zarazem elitaryzmem. Nie znam dobrze t.zw. "emigracji londyńskiej." I jestem widocznie szczęśliwy, iż nie dane mi było spotkać owych "samozwańczych kandydatów na stanowiska przywódcze." Oszczędziło mi to może niepotrzebnej goryczy na długie tygodnie służby morskiej.

Powyższe uwagi notuję, by przedstawić nasze pojęcie o pozostałych grupach emigracji. Wypełniając swe zadanie, wierzymy jednocześnie, iż podobnie pojmują swe obowiązki pozostali Polacy. Nigdy nie będziemy się mogli pogodzić z poglądem, gloryfikującym elitaryzm. Jeśli jesteśmy w błędzie, nie dostrzegając tego rodzaju próby emigracyjnej dyskutowania swych zasług na konto przyszłej kariery — miał rację p. Lewkowicz, zwracając uwagę na objawy tej choroby.

Osobiście podzielam również w pełni troskę autora cytowanego listu o "kościół moralny" naszej emigracji i konieczność pracy nad samym sobą. Wydaje mi się bowiem, iż ta dziedzina naszego życia jest traktowana po macoszemu. W obecnej wojnie wiele ideałów i nakazów moralnych zostało naruszonych. Niejednokrotnie poddać musieliśmy rewizji nasz światopogląd, urobiony w latach młodszych, szkolnych.

Jeśli w duszy młodego pokolenia na pierwszy plan wysuwa się wiara w wartości materialne, winę za tego rodzaju szkodliwą ewolucję ponosi w dużej mierze nieświadomość istotnych wartości życia wewnętrznego jednostki. Poświęcenie, służba dla wyższego dobra, konieczność ofiary — to wszystko jest dziś bronią propagandy, która zależnie od sytuacji politycznej, stawia wciąż nowe ołtarze, dla nowych świętości.

Sądzę, że ciągle ubolewanie nad sytuacją pozostałych w Kraju jest jednym z sposobów usypiających nasze sumienie. Gdy żąda ono rachunku i serce odzywa się w protest przeciwko życiu, które wielu z nas prowadzi, uspokajamy się wykrzyknikiem w postaci: "Panie, kiedy tam wrócimy," albo: "Jak oni tam ciernia." Ta formułka jest często stosowanym narkotykiem. Nie chodzi mi o sugerowanie jakiegoś "cierpiętnego życia". Ważną rzeczą jest, by nie zatracić poczucia prawdy. By uchronić się od całkowitego zubożenia. Nie będziemy może "przewódcami" w życiu publicznym, nie możemy jednak w to życie wejść ze schorzałą duszą.

Powrót nasz do Kraju — to nie

tylko tęsknota za życiem normalnym i potrzeba pracy twórczej: odbudowy. Myślę, iż więcej miejsca należy poświęcić w prasie naszej na studium o psychice Polaka na emigracji. Na tle przeobrażeń, jakich dokonywały się schorzenia. Będziemy się mogli w ten sposób wyratować od kompleksu zniechęlenia. Największym nieszczęściem człowieka jest chyba utrata wiary: w siebie i w wartości ideałów pozamaterialnych — w życie społeczne.

Łączę wyrazy szacunku

Zbigniew Zboński

### LIST Z AMERYKI

Szanowny Panie Redaktorze!

Mam nadzieję, że P.T. Redakcja nie weźmie mi za złe przesyłania numerowanych przeze mnie numerów "Polski Walczącej" — Rodakom w Ameryce. W jednym z numerów "Polski Walczącej" przeczytałem list p. Galińskiej do Redakcji z prośbą o "Polskę Walcząca." Biorąc pod uwagę poczytność oraz brak "Polski Walczącej" na tamtejszym terenie, postanowiłem wysłać moje numery po przeczytaniu. W odpowiedzi na powyższe otrzymałem list, który załączam. Moim zdaniem, ten piękny list, który, jak sądzę, zainteresuje Pana, jest pięknym dokumentem, co czują i jak myślą Rodacy w Ameryce.

Wierzę, że p. Galińska nie weźmie mi za złe przesłania jej pięknego listu do wykorzystania przez P.T. Redakcję.

Franciszek Lipski /RAF/

## Poradnik żołnierski

K.W. — sprawa zakonników w wojsku. Zapytuje pan w swoim liście dosyć ogólnikowo "... jak się przedstawia sprawa tych ludzi, którzy byli w zakonach, a teraz są w wojsku..." czy konkordat jest utrzymany ze Stolicą Apostolską...

Nie wyjaśnia pan, czy chodzi o zakonnik, który już otrzymał święcenia kapłańskie, czy też o Brata, lub może o nowicjusza. Pisze pan natomiast, że sprawa ta "ciekawą prawie całą kompanię." Coprawda nie przypuszczamy, aby pańska kompania składała się w całości, lub choćby w połowie z zakonników, nie mniej jednak mamy nadzieję, że poniższe wyjaśnienia zaspokoją ciekawość waszej kompanii.

Otóż konkordat ze Stolicą Apostolską jest w całej rozciągłości wykonywany. Odnosny paragraf kon-

kordatu, który dotyczy służby osób duchownych w wojsku, brzmi następująco: "... Duchowni, którzy otrzymali święcenia, zakonnicy, którzy złożyli śluby, uczniowie seminariorów i nowicjusze, którzy wstąpili do seminariorów lub nowicjatu przed wypowiedzeniem wojny — będą zwolnieni ze służby wojskowej, z wyjątkiem pospolitego ruszenia. W tym ostatnim wypadku, księża, posiadający święcenia kapłańskie wykonywać będą w wojsku swój urząd kapłański, inni zaś członkowie duchowności będą powołani do służby sanitarnej."

Jeśli chodzi o stosunki dyplomatyczne ze Stolicą Apostolską — to są one też w pełni utrzymane. Ostatni nuncjusz apostolski przy rządzie polskim w Warszawie /do wybuchu wojny/, msgr. Cortesi, przebywa obecnie w Rzymie. Przedstawicielem

Stolicy Apostolskiej w charakterze chargé d'affaires przy rządzie polskim w Londynie jest delegat apostolski na W. Brytanie, biskup Godfrey.

Polski biskupat wojskowy, wkrótce po przybyciu z Francji do Anglii wezwał wszystkich duchownych, służących w wojsku, do zgłoszenia się i wszyscy ci, którzy się zgłosili, a odpowiadali warunkom w myśl brzmienia konkordatu, zostali zwolnieni ze służby wojskowej, inni zaś, zwłaszcza ci, którzy przybyli lub przybywają z ewakuacji — są w toku zwalniania.

O ile powyższe wyjaśnienia są niewystarczające, zainteresowane osoby duchowne służące w wojsku winny zwrócić się do kapelana swego oddziału, lub wprost do kurli biskupa polowego /adres: Palace Mansions, Palace Street, London, S.W.1./

Szanowny i Kochany Żołnierzu Polski!

Najserdeczniej dziękuję za obietnicę przesyłania mi "Polski Walczącej." Choć dostawałem już cztery numery wprost z Redakcji, które, proszę mi wierzyć, czytamy nie tylko z zainteresowaniem, jako pismo o wysokim poziomie moralnym i ideowym, ale wprost wchłaniamy, jak ożywczy napój, każdą jego pienką, przepojoną bezgraniczną miłością do Ojczyzny — myśl.

Nie ma pan pojęcia, jaka szalona jest różnica między tym piśmem, a naszymi czasopismami, z których nawet te najlepsze są czasami tak słabe, tak nie przemawiają niczym do duszy, że po przejrzeniu tych ogromnych szpalt, człowiek, miast pokrzepienia, wyczuwa taką pustkę, takie pragnienie czegoś ożywczego, że rzuca zniechęcony tę plikę papieru w kąć i bierze do ręki po raz nie wiadomo który małego formatu "Polskę Walcząca" i czepie z niej siłę i wiarę w zwycięstwo dobra nad złem. Takim jest to Wasze bezcenne żołnierskie piśmo. To jakby przedziwna Noweży Polski, która nadchodzi. Która Wy z pomocą Bożą wywalczycie i obdujcie na nowych, granitowych fundamentach, a fundamentem tym będzie odrodzony i przepalony w ogniu nadludzkich cierpień i trudów — Naród Polski, a w Nim ukochana Armia Polska.

W Was, Żołnierze nasi ukochani, utkwione są oczy wszystkich Polaków rozrzuconych po całym świecie. Nie na pakiety, nie na traktaty, ale liczymy na Was, na moc Waszego ducha, na Waszą gorącą miłość, na niezłomną wolę zerwania kajdan niewoli z Ojczyzny!

Wasza miłość potroi Wasze siły, że nikt Was nie zmoże, nikt Was nie pokona, a Wy, Żelazne Wojsko Marii, będziecie szli krok za krokiem po paciorkach różańca, znaczącego granice Polski ręką naszej Jasnogórskiej Królowej i wykuciecie Polskę takie granice, jakie się jej należą.

Proszę wybaczyć, że pod dyktando serca pisałem ten list do pana, ale niech go pan przyjmie jak od matki, która najczęściej sercem się kieruje. Może pan być pewny, że "Polski Walczącej" nie zmarnujemy, swoje numery, jak świętość, chowamy, a tamte, damy w dobre ręce.

Niech Pana i Was wszystkich dobry Bóg otacza ojcowską opieką a Michał Archanioł niech stoi zawsze na czele Waszych hufców, aż poprowadzi Was na ostatni zwycięski bój, po którym zatkniecie szlendar swów na Wolnej Ziemi Polskiej.

Zasylam pozdrowienia z głębi sere naszych.

D. Galińska z rodziną  
R.F.D. Princetown, New Jersey,  
U.S.A.

Kochany Redaktorze,  
Przesyłamy w załączeniu 4 "Money Orders" nr. nr. TN.6335, TP.53950, TL. 31816, TL.31817 na łączną kwotę £116 sh.15 d.3. Składa się ona wraz z sumą £98 ogłoszoną w numerze 10 "Polski Walczący" z dnia 11 marca b.r. na całość wyniku zbiórki, organizowanych przez zespół Czołówki Teatralnej "Lwowska Fala" w czasie przedstawień programu: "Początek końca" w miejscach postoju oddziałów... Dywizji Pancerniej.

Łączna suma uzyskana tą drogą wynosi £214 sh.15 d.3. Złożyli ją i przekazują za pośrednictwem "Polski Walczący" na "paczki od serca" dla jeńców polskich w Niemczech — oficerowie i szeregowi następujących oddziałów:

|   |            |
|---|------------|
| 24.II. 1 szwadron łączności   | £ 8.19. 7  |
| 25.II. Kwatera Główna Dyw. Panc.  | £13. 7.    |
| 26.II. 11 kompania sanitarna  | £ 4.*7. 9½ |
| 27.II. ... Brygada Strzelców  | £38. 2. 6  |
| 1.III. Kompania warsztatowa Br. Strzelców   | £ 8. 9. ½  |
| 2.III. ... Pułk Przeciwpancerny   | £12.13. 1  |
| 3.III. ... i ... p.a.l.   | £14.14. 7½ |
| 4.III. 24 p. ul.  | £12. 5. 7½ |
| 5.III. ... p.s.k. 11 komp. saperów, 11 kompania parkowa saperów                     | £21.10. 5  |
| 6.III. Batalion broni wspierającej  | £ 7. 4. ½  |
| 7.III. 10 Kompania Saperów, P.S.W.K. Dom Wypocz. P.C.K.                             | £ 9. 9.    |
| 12.III. Pułk artylerii p-lot. Centrum Wyzsk. Sap., Komisje Regulamin                | £50.11. 1  |
| 14.III. ... Pułk Pancerny, Szwadron sztab. B.K., 10 Komp. Zaop., 10 Szwadron Łączn. | £13. ½     |

Razem: £214.15. 3

Pragniemy podkreślić, że akcja zbiórkowa spotkała się z niezwykle serdecznym poparciem żołnierzy, świadczącym o ich żywym poczuciu łączności z kolegami w niewoli niemieckiej. Przekazujemy im za po-

**Na "paczki od serca": £2,449**

średnictwem "Polski Walczący" wyrazy najszerszego uznania i podzięk. Łączymy koleżeńskie pozdrowienia

*Czołówka Teatralna "Lwowska Fala"*

Zbiórka na "paczki od serca" w czasie III. wieczoru autorskiego /Mariana Czuchnowskiego, Ryszarda Kiersnowskiego i Karola Zyszew-

skiego/ w Klubie "Białego Orła" wyniosła £36.6 /słownie: trzy funty, sześć szylingów i sześć pensów/, którą to sumę komisja imprezowa Klubu "Białego Orła" przekazuje.

Por. J. H. ze Szl. za miesiące styczeń, luty i marzec £1 /jeden funt/ na paczki dla jeńców.

Redakcja "Polski Walczący." Przesyłam £311.3 na jeńców wo-

jennych. Kwota ta jest pozostałością z drobnych nadpłat przy wpłaceniu na kosztą znaku pułkowego 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich.

Proszę o umieszczenie na liście ofiar.

*ppułk. St. St.*

Z okazji ślubu kpr. pch. T.P.E. i A.K. przesyłam przekaz na £25.0 na "paczki od serca."

*R.F.*

W czasie Koncertu Kapeli Ludowej Jana Rydla zebrano w Klubie "Białego Orła" na "paczki od serca" kwotę £87.4 /słownie: osiem funtów, siedem szylingów i cztery pensy/.

Do Redakcji "Polski Walczący," W załączeniu przesyłam sh.3 "Postal Order" przeznaczając je na paczkę dla jeńców W. Polskich, znajdujących się w Niemczech.

*Nowak*

N.N. sh.9.3 na paczkę od serca według załączonego adresu.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £135.17.7 /słownie: stotrzydzieści pięć funtów, siedemnaście szylingów, siedem pensów/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennych Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet. Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczący" do £2,449.1.11 /słownie: dwa tysiące czterysta czterdzieści dziewięć funtów, jeden szyling, jedenaście pensów/, 50 milrejsów brazylijskich i 2 dolary amerykańskie.

**Pomoc dla Polaków w Rosji: £10,831**

Redakcja "Polski Walczący," Z okazji swoich imienin przesyłam na rzecz Polaków w Rosji 1 funta.

*Józef S. pchor. /RAF/*

Za koperty ze znaczkami zagranicznymi otrzymane z redakcji "Polski Walczący" p. X. sh.10 na pomoc Polakom w Rosji.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £16.9.1½ /słownie: szesnaście funtów, dziewięć szylingów, jeden i pół pensa/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczący" do £10,831.18.2½ /słownie: dziesięć tysięcy osiemset trzydzieści jeden funtów, osiemnaście szylingów, dwa i pół pensa/, 28 dolarów amerykańskich, 108 pesetów hiszpańskich, 550 dolarów amerykańskich, 15 czerwieniów i 100 milrejsów brazylijskich.

Redakcja "Polski Walczący," Zamiast upominka imieninowego dla mego męża Józefa przesyłam 1 funta na rzecz Polaków w Rosji.

*Helena S. /WAAF/*

Oficerowie, podoficerowie i szeregowcy na terenie RAF Maintenance Command — na pomoc Polakom w Rosji złożyli w miesiącu lutym 1944 r. kwotę £8.19.0.

*Dowódca Pułku*

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczący" do £10,831.18.2½ /słownie: dziesięć tysięcy osiemset trzydzieści jeden funtów, osiemnaście szylingów, dwa i pół pensa/, 28 dolarów amerykańskich, 108 pesetów hiszpańskich, 550 dolarów amerykańskich, 15 czerwieniów i 100 milrejsów brazylijskich.

Zarząd Związku b. Jeńców z niewoli niemieckiej zawiadamia, iż od dnia 20.III.44 jest czynny stały sekretariat w Polskim Domu Wojskowym /Polish Military Hostel/, 3, Culford Gardens, Londyn, S.W.3.

Do Redakcji "Polski Walczący," W załączeniu przesyłam Postal Order na kwotę £1 /jeden funt/ z prośbą o przekazanie tejże na rzecz pomocy Polakom w Rosji.

Z poważaniem

*ppor. Stanisław W.S.*

Redakcja "Polski Walczący," Zawiadamiam, że dnia I.III. r.b. przesyłam M.O. na kwotę £3 sh.10 d.1½ złożoną przez żołnierzy III dyonu z dobrowolnych składek dekadowych w m-cu lutym r.b., z przeznaczeniem na pomoc Polakom w Rosji.

*Dowódca Dyonu kapitan M.K.*

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczący" do £10,831.18.2½ /słownie: dziesięć tysięcy osiemset trzydzieści jeden funtów, osiemnaście szylingów, dwa i pół pensa/, 28 dolarów amerykańskich, 108 pesetów hiszpańskich, 550 dolarów amerykańskich, 15 czerwieniów i 100 milrejsów brazylijskich.

Zarząd Związku b. Jeńców z niewoli niemieckiej zawiadamia, iż od dnia 20.III.44 jest czynny stały sekretariat w Polskim Domu Wojskowym /Polish Military Hostel/, 3, Culford Gardens, Londyn, S.W.3.

PEN Klub Polski w Londynie organizuje w dniu 28 marca b.r. w Ognisku Polskim /45 Belgrave Square/

ŁAŃCUCH OFIAR  
Bezmiennie sh.10 /dziesięć szylingów/.

PRZECHOWALNIA BAGAŻU DLA WSZYSTKICH ŻOŁNIERZY WOJSK POLSKICH

KOMUNIKATY  
Byli żołnierze 36.p.p.L.A., proszeni są o podanie swych adresów, oraz adresów kolegów w niewoli niemieckiej, do Tymczasowego Komitetu Pomocy Jeńcom Kolegom 36.p.p.L.A. — Polish Forces P/50.

WIECZÓR AUTORSKI  
Stefanii Zahorskiej.

POLISH CHILDREN RESCUE FUND  
Pracownicy Polskiej YMCA składają za miesiąc luty i marzec 1944 r. £25 /dwadzieścia pięć funtów/ na pomoc polskim dzieciom z Rosji.

Pracownicy Polskiej YMCA składają za miesiąc luty i marzec 1944 r. £25 /dwadzieścia pięć funtów/ na pomoc polskim dzieciom z Rosji.

POSZUKIWANIE  
P. SZYMON NEBELSKI, który w 1940 r. został wywakuowany z Francji, proszony jest o podanie swego adresu do redakcji "Polski Walczący", celem przekazania mu wiadomości o matce, przebywającej w Palestynie.

**WERINAJSEK**

... ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...

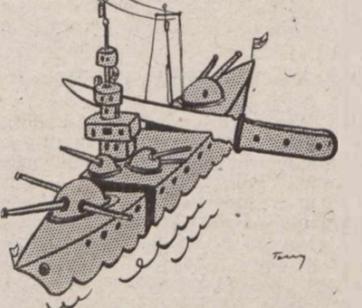


Hitler w oczach optymistów niemieckich... a la Churchill.

**AKTUALNA PIOSENKA**  
Podobno dywizja nowozelandzka spod Casino adoptowała piosenkę polską. Żołnierze śpiewają:  
"Kamień na kamieniu,  
Na kamieniu kamień,  
A na tym kamieniu  
Jeszcze jeden kamień..."

**ACH TE SKRÓTY**  
—Kapewu Apewu — pyta szef ulana.  
—Nie!  
—To nie wiecie, że Apewu oznacza Armię Polską na Wschodzie?!

**AUTENTYCZNE**  
Do nowomianowego podporucznika czasu wojny zwraca się goniec:  
—Czy mogę mówić z doktorem czasu wojny, podporucznikiem X.?  
**SALOMONOWE ROZWIĄZANIE**



Jak mały Morysiek podzieliłby flotę włoską na trzy części...

**WIOSENNI POLITYCY**

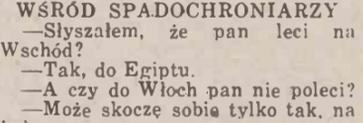


—A ja wam mówię, że jak przyjdzie odwilż, to się wszystko zmieni...  
—Co też pan plecic, czy pan jest balwanem? ...

**WTOREK**  
Rzekł wszechwiedzący kapral, że wtorek na końcu ma mieć "g."  
A strzelec rzekł, bo też się zna, że wtorek pisze się przez "k."  
Wszedł szef, więc gwałtem ciągnął zeń, co ma na końcu mieć ten dzień.  
Dajcie mi słownik — odrzekł ów — w nim jest pisownia wszystkich słów.  
Szukał godzinę dwie i pół, wreszcie słownikiem wyrzwał w stół.  
Brak tego słowa — krzyknął szef — nie ma go pod literą "F"!

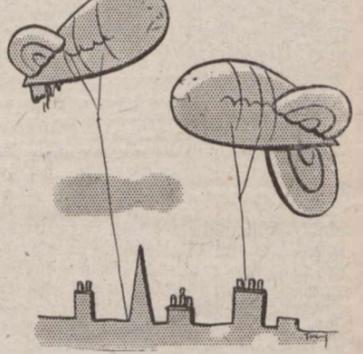
**AKTUALNE POWIEDZONKO**  
Po przemówieniu Goebbelsa, który pocieszał naród niemiecki, że Niemcy prowadzili już wojnę siedmioletnią potulne swaby mówią:  
—No, jak "blitz'em" zleciał ten piąty rok wojny...  
**MUSI ODLATAĆ**  
—Słuchajcie Marchewka, ile lotów już odbyłście?  
—Melduje, że 29!  
—To świetnie, wobec tego polecicie mi z listem na pocztę...  
**WSRÓD SPADOCHRONIARZY**  
—Słyszałem, że pan leci na Wschód?  
—Tak, do Egiptu.  
—A czy do Włoch pan nie poleci?  
—Może skoczę sobie tylko tak, na jedną nogę...  
**BRAK INTERPUNKCJI**  
—Pan wie, że wkrótce ma się spotkać Roosevelt z Churchillem?  
—W jakim celu?  
—Dla uzupełnienia Karty Atlantyckiej. Mają jeszcze postawić kropkę nad literą "i"!  
**PRZECZUCIE!**

—Moja pani, moja pani, coś mi się wydaje, że to nasze ostatnie święta...



Orsi

**OFIARA NALOTU**



—Panie kolego, widzę, że pan stracił ogon!  
—Zgadza się! To w czasie ostatniego "blitz'u" na Londyn.  
—Od pocisku artyleryjskiego?  
—Nie! Sprawcą mojego kalectwa jest pies jednej z ATS-ek...  
**KATEGORIA "E"**  
—Ja nie wiem po co jeszcze trzymają w wojsku podchorążego Proteksiewiczza? Przecież to kaleka!  
—Kaleka??  
—No tak. Ręce, nogi i głowę ma w Szkocji, plecy natomiast w Londynie...  
**POCIĄG DO ZAWODU**  
Dziwna fortuna kołem się toczy: Hitler z wielkiego wodza, staje się znowu malarzem pokojowym.  
—Dlaczego?  
—Prosi o pokój...

Tekst i rysunki: TONY

**BE TALLER!**  
INCHES PUT YOU MILES AHEAD!  
Increased my own height to 6ft. 3½ins.  
CLIENTS GAIN 1 to 6 inches  
No Appliances—No Tablets—No Dieting  
Ross System Never Fails  
Fee £2 2s. Complete Details 6d. stamp  
**MALCOLM R. ROSS**  
Height Specialist  
BM Hythe, London, W.C.1

Ukazał się  
**SŁOWNIK WOJSKOWY**  
**ANGIELSKO-POLSKI I POLSKO-ANGIELSKI**  
oprawny w płótno w formacie kieszonkowym.  
Zawiera około 16,000 słów i zwrotów, obejmujących słownictwo ogólnotaktyczne i techniczne wojsk lądowych, marynarki wojennej i lotnictwa z uwzględnieniem gwary wojskowej, jak również ordery i odznaczenia polskie i brytyjskie, porównanie miar i wag oraz temperatur.  
Cena Słownika: 6 sh.  
Słownik można nabyć przez oficera gospodarczego danej jednostki wojskowej lub bezpośrednio w Centralnej Komisji Regulaminowej—Polish Forces P/66—po przesłaniu należności w formie Postal Order (bez wymienienia odbiorcy).

MINISTERSTWO WYZNAN RELIGIJNYCH I OŚWIECENIA PUBLICZNEGO  
zawiadamia o wydaniu następujących podręczników  
KS. MGR. C. KRZYSZKOWSKI  
**"PODRĘCZNIK RELIGII RZYMSKO-KATOLICKIEJ"**  
str. 286. Cena 4/—  
ANATOL LEWICKI  
**"ZARYS HISTORII POLSKI"**  
TOM I.  
Wydanie nowe, poprawione i uzupełnione przez Dr. J. Jasnowskiego i Dr. F. Lenczowskiego  
str. 264 i mapy. Cena 7/—  
Do nabycia w polskich księgarniach i kioskach.

**SPIS RZECZY:**  
Tadeusz Nieduszyński: Rozbrojenie Niemiec. — Zbigniew Grabowski: Szkic sytuacyjny. — Z tygodnia na tydzień. — Julian Ginsbert: Wojna na morzu. — Maria Brzeska: Polska żywymi oczami. W domu. — Ze święta Dywizjonu Wileńskiego. — Bolesław Pomian: Piosenki 8-ej Armii. — Eryk Sopoćko: Uzbrojony Krążownik Pomocniczy. — Julian Ginsbert, Tymon Terlecki: Eryk Sopoćko. — Adam Wojtyła: APEWU /III./.. — Poszukiwani. — Wiktor Budzyński: Bez blackoutu. — Wotum "Lwowskiej Fali". — Skrzynka pocztowa. — Poradnik żołnierski. — Dla Polaków w Rosji. — Na "paczki od serca". — Tony Werynajsek. — Fotografie.

**WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.**  
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.  
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.  
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.  
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zareserwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.  
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

**SŁOWNIK KIESZONKOWY**  
angielsko-polski i polsko-angielski z wymową, nkaże się 25 marca b.r.  
Wobec stosunkowo niewielkiego nakładu zamówienia prosimy już obecnie kierować do firmy  
**W. FILSKI, 29, BUCKINGHAM PALACE RD., LONDON, S.W.1.**  
Cena 6/6